tama na dobrej woli 4

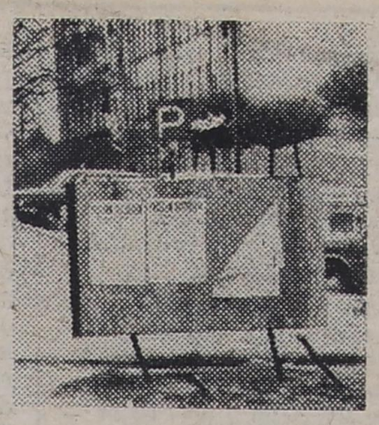
gdy muza szuka guza 5

ława krnąbrnych 11

bałwana za uszy 12

byli tylko zabici 13

KONTAKTY

ŁOMŻYŃSKI TYGODNIK SPOŁECZNY • PISMO PZPR

19

(46)

KONTAKTY

17 V 1981

Cena 4 zł

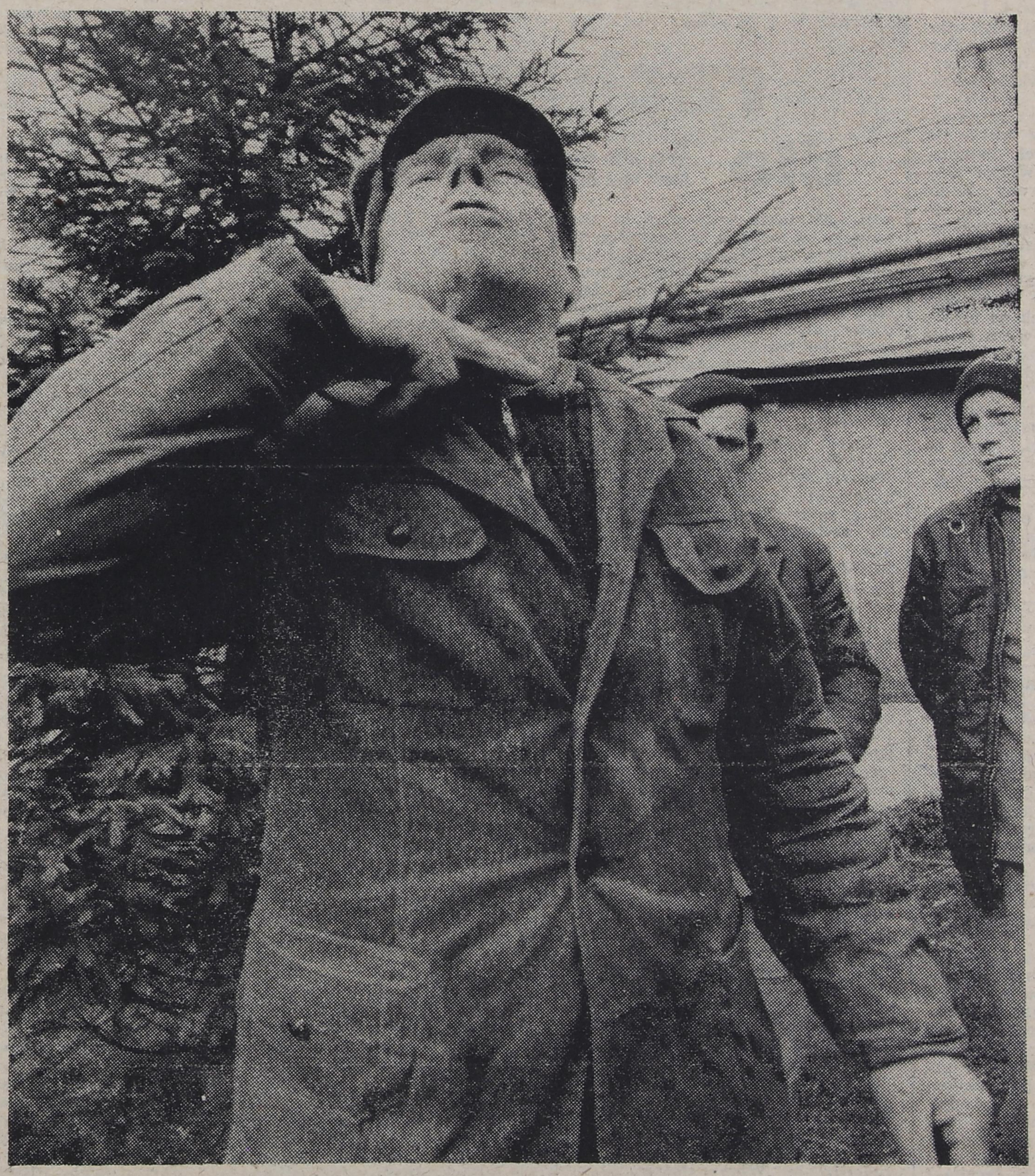

FOT. GABOR LÖRINCZY

DANUTA I ALEKSANDER WRONISZEWSCY

ucapić władzę pod nogi

Sekretarz Grądzkiej nie kochają w Przytułach. — Niechby tylko przyjechała — zaperzają się chłopi — już my by ją... — Co by jej zrobili, nie precyzują dokładnie, ale roziskrzone oczy i bojowe pokrzykiwania świadczą, że nie ma żartów. — Bo wszystko przez tę babę.

— Dziwne to były czasy, choć mogłoby się zdawać, że żyliśmy normalnie. U nas naród spokojny, chuligaństwa specjalnie nie ma ani rozrabiań żadnych. Gmina gospodarna, cicha. Powolutku układali my sobie wszystko: sklep i szkołę, ośrodek zdrowia i drogi. Dużo czynem społecznym. Nietrudno coś zorganizować, kiedy wszyscy robią dla wszystkich. Tak to jakoś szło dobrze, zgodnie, od początku władzy ludowej z tym samym sołtysem, aż dożyliśmy tego, że nad gminą zapanowała partia. A partia znaczyło wtedy dla nas: towarzyszka Janina Grądzka. Ta kobieta przyszła do nas jako nauczycielka i dopiero potem awansowała na sekretarza partii całej gminy. Zmieniła się wtedy od razu, przejęła. Nikt już nie zobaczył jej w kościele, nie wpuszczała więcej księdza po kolędzie. Nie powiedzieliśmy jej za to jednego złego słowa. Judaszem się okazała. Jak zaczęli na nowo te województwa, a potem gminy przemieszczać, trzeba było część zlikwidować....

CIĄG DALSZY NA STR. 8—9

z tysiąca i jednej nocy

— Koniec drugiej wojny światowej — mówi Bolesław Makuszewski, 76-letni mieszkaniec Szczuczyna, powszechnie nazywany anderszczakiem, stolarz z zawodu i nestor tutejszej OSP — zastał mnie we Włoszech, w dolinie Padu.

Była akurat przerwa obiadowa, po spożyciu posiłku mieliśmy przygotowywać się do uderzenia w kierunku Mediolanu. Nagle przez głośniki podali komunikat: koniec wojny! Dwa słowa, lecz jakże ważne. Trudno opowiedzieć tę radość, żołnierskie łzy ulgi. Czegóż wtedy nie wyprawialiśmy. Posypały się uściski, pocałunki, okrzyki, czapki w górę i strzały na wiwat. Mnie samemu trudno było w to uwierzyć, bo czasami miałem przeczucie, że ten wojenny koszmar nie skończy się nigdy. Szybko jednak pokonywałem tę myśl i na nowo wierzyłem w zwycięstwo sprawiedliwości.

I nagle, znienacka, dopełniało się ono w mojej obecności. Wydarzenie to napawało mnie ogromną radością, choć jednocześnie — smutkiem. Puste miejsca w szeregach przypominały o poległych. W staczanych bitwach śmierć zabierała co drugiego, co trzeciego. Pod Monte Cassino jest polskich grobów dwa tysiące dwieście! W Bolonii — tysiąc sześćset. Po każdym starciu nie wracało po kilkudziesięciu, kilkuset. Byłem zżyty z tymi żołnierzami bardziej niż z rodziną. Wspólne nieszczęścia, kłopoty i trudy cementowały te więzy najmocniej.

Czczę ich pamięć i dzisiaj. Przypominam w każde doroczne święto wolnym miejscem przy stole i polską minutą milczenia.

Z początku wojny, nie powiem, każdy z nas myślał o swoim domu rodzinnym: żonie, dzieciach, rodzicach. Później liczyła się tylko walka. Kontakt z rodziną był urwany. Ja nie miałem od niej wiadomości przez osiem lat. Czasami jakiś sen, jakieś wspomnienie nawiedziło człowieka. Dochodziły do nas wieści z kraju, jaki tam terror, ale cóż mogliśmy uczynić.

CIĄG DALSZY NA STR. 6—7

zdarzenia

Przedruk z „Trybuny Robotniczej" z dnia 28.IV.br.

rachunek dla bezkarnych

W pierwszych dniach września 1980 roku otrzymałem telefon z Przedsiębiorstwa Budowlanego Przemysłu Węglowego w Katowicach. Anonimowy rozmówca mówił krótko: — Niech pan przyjedzie do nas na najbliższą KSR. Będziemy rozliczać kierownictwo za prezenty dla ludzi, których nazwiska są na czołówkach gazet. Chodzi o miliony. [...]

Dyrektor Lesiecki w swoim gabinecie czuje się dużo lepiej niż na zebraniu KSR. Na dodatek obok siedzi inż. Leszek Czuba, zastępca naczelnego inżyniera ds. budownictwa mieszkaniowego. Ci ludzie wiedzą wszystko, albo prawie wszystko. Ile zechcą powiedzieć?

Dyr. LESIECKI: — Nasze przedsiębiorstwo wznosi obiekty budowlane dla resortu górnictwa. Mówiąc krótko — budujemy górę kopalni, wszystko to, co na powierzchni. Jesteśmy w tym dobrzy, chyba najlepsi. Dlatego coraz częściej powierzano nam budownictwo mieszkaniowe. Wy sobie z tym poradzicie najlepiej, mówiono mi w Zjednoczeniu i w Ministerstwie. Z biegiem lat udział mieszkaniówki rósł. W 1975 r. trzeba było zbudować wiele dla tow. Zdzisława Grudnia i profesora Adama Gierka. Wybrano nas. [...]

Inżynier Czuba był jedynym człowiekiem w PBPW, który powiedział mi, że był zadowolony i dumny z tego, co robił. Inni mówią o gehennie.

— Pracowaliśmy, zwłaszcza na budowie u Grudnia, w wariackim tempie, w nienormalnych warunkach — wspomina inż. Wiktor Wieczorek, kierownik Grupy Robót Montażowych w PBPW. — Taki domek buduje się w naszych warunkach około roku. My zaczęliśmy w sierpniu, by skończyć w grudniu. Na święta musiał być gotowy. Musiał, rozumie pan? Pan tego nigdy nie zrozumie. Ten domek po prostu musiał być, choćby nie wiem co się działo. Słowo „musi" słyszałem setki razy na dzień. Pracowaliśmy dzień i noc, bez niedziel. Zawsze ci sami robotnicy. Ciągle pod strażą. Goryle czuwali nad każdym ruchem. Kończyłem pracę o drugiej, wpół do trzeciej w nocy. Jak kończyliśmy, byłem u kresu wytrzymałości nerwowej i fizycznej.

Podobnie jak stolarze od Wieczorka, harowali posadzkarze i inni specjaliści z Grupy Robót Specjalistycznych i Wykończeniowych Konstantego Cichego.

CICHY wspomina: — To były najtrudniejsze chwile w moim życiu. Robiliśmy jak opętani. Wszystko, czego zażądano, musiało być. Jakby miała być gwiazdka z nieba, to by była. Nie wierzy pan? Zapewniam pana, że by była. Były różowe marmury spawane srebrem, parkiety z drzewa olchowego, specjalnie sprowadzone przez „Centrozap" sanitaria z Austrii, lustra kryształowe, boazeria modrzewiowa, sauna automatyczna... Większość rzeczy pierwszy raz w życiu widziałem. Wszyscy dziwili się, skąd to jest, za jakie pieniądze, jak to będzie rozliczane. Ale kto mógł pisnąć słowo. Myśmy z Wieczorkiem najwyżej mogli zgrzytać zębami.

Najgorzej wspominają ostatnie tygodnie na budowie Grudnia. Robiono w wariackim tempie. Mokry budynek suszono specjalnymi podgrzewaczami. Nie zdążyli jednak wysuszyć i na mokre ściany kładli modrzewiową boazerię. Wkrótce zapleśniała. Ale to nic. Najważniejsze, że towarzysz Grudzień wprowadził się w terminie. Potem, podczas jego urlopu latem 1977 roku, wymieniono boazerię. To były pierwsze poprawki, ale nie ostatnie. Modernizacja i upiększanie willi trwało do sierpnia 1980 roku. Wtedy właśnie w ogródku sadzono 20-letnie drzewa przywiezione z parku. Operację wykonał specjalnie zakupiony angielski dźwig „Hydra", którego godzina pracy kosztowała 600 złotych. Tam gdzie był potrzebny, praca stała.

Rok wcześniej zakładano kraty i okiennice modrzewiowe, wzmocnione od środka blachą aluminiową. Ludzie mówili wtedy, że to dobry znak. — Z tymi kratami i okiennicami — wspomina jeden z robotników — był wielki cyrk. Najpierw załatwiono najlepsze w świecie łożyska japońskie. Kierownik zaopatrzenia specjalnie po te łożyska leciał samolotem do Warszawy. Przywiózł je tego samego dnia w teczce. Potem jak malowaliśmy kraty, to na trawę zakładano folię, żeby się broń Boże nie ubrudziła. Wie pan, co wtedy myślałem? Żeby mu się te kraty i okiennice jak najszybciej przydały. [...]

Z robotnikami i majstrami jest inna rozmowa.

Mówią co wiedzą, zrzucają z siebie ciężar, który nie z własnej woli nosili. Ale ci ludzie byli zbyt nisko, by wiedzieć wszystko. [...]

Te opowiadania, ułamkowe fakty, wyszperane z pamięci wydarzenia składają się na obraz znanych postaci. Jest to obraz inny niż ten, który prezentowała prasa i telewizja. Na ekranie ludzkich wspomnień pojawia się wicepremier (były) Szydlak i członek Biura Politycznego (były) Grudzień, z daleka wyniośli i niedostępni, a z bliska tak prości, że aż prymitywni, jest wiceminister budownictwa (właśnie odwołany) Fiuk, zainteresowany serdecznie wszelkimi darmowymi możliwościami podniesienia standardu własnego domku, jest sekretarz KW (były) Baranowski, który bacznie sprawdza, czy modrzewiowe deski na boazerię nie mają przypadkiem sęka, jest przewodniczący Związku Zawodowego Górników (były) Leś, który określenie „standard życiowy" kocha nad życie; jest wreszcie, najbarwniejsza ze wszystkich, postać ministra górnictwa (byłego) Lejczaka, dla którego należało nie tylko wybudować w 5 miesięcy elegancką willę, ale także wyposażyć ją, począwszy od mebli, a skończywszy na szczotkach do butów, nożach i widelcach, ręcznikach i łóżeczku (modrzewiowym, a jakże) dla psa. Jest tych bardziej i mniej kolorowych postaci dużo. Można by tak o nich opowiadać bez końca. Obraz widziany przez ludzi zwyczajnych, przez robotników, jest inny niż ten z telewizyjnej kamery i co tu kryć — ciekawszy.

Teczki inspektorów NIK pęczniały z dnia na dzień. Kiedy zwróciłem się do nich, mieli za sobą kilkadziesiąt przeprowadzonych rozmów, setki przeanalizowanych faktór, rachunków i innych dokumentów. Przy nazwiskach klientów PBPW opisy dokonanych nadużyć. Im większe nazwisko — tym dłuższy opis.

W jednej z teczek krótka notatka, z której przepisuję kilka zdań: *„Kontrola wykazała, że wskutek nacisku przedstawicieli różnych władz polityczno-administracyjnych, a głównie byłego ministra górnictwa Włodzimierza Lejczaka i dyrektora Zjednoczenia Budowlano-Montażowego PW Jana Tyca, Przedsiębiorstwo Budowlane Przemysłu Węglowego budowało i remontowało działaczom województwa domki jednorodzinne i letniskowe oraz wille. Działacze ci byli głównie u ż y t k o w n i k a m i* (podkr. T.B.) *tych domków, a i n w e s t o r a m i* (podkr. T.B.) *jednostki uspołecznione. Przedsiębiorstwo wykonywało w tych domkach lub w innych mieszkaniach, na polecenie użytkowników, także dodatkowe roboty podwyższające standard. Należności za te roboty były zaniżone z powodu zajmowanych stanowisk przez osoby, które zlecały prace bądź dla których je wykonywano. Wszystkie roboty charakteryzowały się dużymi stratami, jakie poniosło przedsiębiorstwo i niepełną lub nieodpowiednią dokumentację".* Nieco dalej następujące stwierdzenie: *„Wbrew statutowi i celowi działania, przedsiębiorstwo podejmowało się wyposażenia niektórych budowanych domków w artykuły gospodarstwa domowego takie; jak: meble, żyrandole, dywany itp., ponosząc straty na transporcie, przejazdach, delegacjach. Wykonywano też meble na zamówienie znaczących osób".[...]*

Przebudowywano wówczas w Katowicach ulicę Murckowską. Inwestycja ta zatwierdzona została jeszcze w 1973 roku. Wojewoda katowicki Stanisław Kiermaszek wydaje aneks bez daty do decyzji z 1973 roku, na podstawie którego do inwestycji włączona zostaje budowa domków jednorodzinnych przy ulicy Drozdów i Różyckiego. Do towarzysza Grudnia dołączają profesor Adam Gierek (dobrze mieć właściwego sąsiada — powiedział jeden z robotników), wicepremier Pyka i sekretarz KW Legomski. Towarzystwo jest doborowe: nic dziwnego, że zadania inwestycyjne pod nazwą „Przebudowa ulicy Murckowskiej" urasta do priorytetowego. Pisze o nim katowicka prasa, relacje do dziennika telewizyjnego przesyła katowicki ośrodek telewizyjny.

Decyzją wojewody wykonawcą domków dla Grudnia i Adama Gierka zostaje, jak już wiemy, PBPW. Dyrektor Lesiecki: — Nie było gadania, Wojewoda polecił, inwestor — Okręgowa Dyrekcja Rozbudowy Miast w Katowicach — przekazała niezędną dokumentację. Jako wykonawca nie musiałem interesować się, jak inwestycja jest finansowana. I nie interesowałem się. To jest sprawa inwestora. [...] Dziś wszyscy mają do mnie pretensję. Ale nikt nie próbuje wejść w moje położenie. Choćby sprawa remontu u wicepremiera Szydlaka. Zarzuca mi pan, że cały remont przeprowadzono na moje ustne polecenie. Było inaczej. Zostałem wezwany do wiceministra. Siedział tam Szydlak. Wiceminister powiedział mi, że moje przedsiębiorstwo przeprowadzi remont u tow. Szydlaka. Wicepremier stwierdził, że za wszystko zapłaci. Nie zawarto umowy, bo jak? Nie sporządziliśmy dokumentacji projektowo-kosztorysowej, bo nie było wiadomo, co będziemy robić. Trzy dni potem kierowca przywiózł zlecenie wypisane ręcznie na kartce papieru przez panią Szydlakową. Fakt, ta kartka zginęła, ale nawet gdyby była, co by to zmieniło? Zarzucają mi, że zrobiłem prezent Edwardowi Gierkowi fundując mu warzywnik-szklarnię za 1,5 miliona złotych. Sądzi pan, że to ja miałem takie genialne pomysły? Wezwał mnie minister Lejczak i kazał wykonać robotę. I znów nie było dyskusji. Kiedy zapytałem kogo obciążyć kosztami, otrzymałem polecenie, żeby wszystkie związane z warzywnikiem wydatki włączyć w koszty budowanej przez nas fabryki domów. I co miałem robić, jak protestować, komu o tym powiedzieć? Zwrócić się do Gierka? Co pan by zrobił? Podobnie z willą Lejczaka. Chce pan wiedzieć jak było? Proszę, niech pan spojrzy na ten dokument. Nikomu go dotąd nie pokazywałem. Bo i po co? Tych, co twierdzą, że to ja z własnej woli robiłem prezenty, i tak nie przekonam. [...]

Inspektorzy NIK, po naprawdę benedyktyńskiej pracy, ustalili, że 23 skontrolowane obiekty, których wykonawcą było PBPW, kosztowały 47,7 mln złotych. Z tego 15,2 mln stanowią straty przedsiębiorstwa. Tyle właśnie PBPW podarowało dostojnikom. Pozostałą kwotę wpisano na konta innych przedsiębiorstw i instytucji. Maleńki ułamek pokryli sami użytkownicy.

Prawie 50 mln złotych zafundowano 25 bonzom. Ale nie równo. Podział był zgodny z hierarchią, tak zgodny, że na jego podstawie można bez trudu ustalić listę ważnych, ważniejszych i najważniejszych. Teraz jest to przede wszystkim lista dłużników społeczeństwa. Od niedawna bez nadruku „tajne". Zerknijmy zatem, by dowiedzieć się, kto co nam winien.

Wille Zdzisława Grudnia i Adama Gierka według wstępnych ustaleń miały kosztować łącznie 3,6 mln zł. Kosztowały ponad 27,2 mln. O prawie ośmiokrotnym wzroście kosztów zadecydowały te wszystkie luksusy, które znalazły się w środku: dywany z Kowar, które trafiły tutaj zamiast na eksport, zwolnione z puli pewexowskiej przez wojewodę materiały budowlane, sprowadzone z Austrii urządzenia sanitarne, parkiety olchowe, modrzewiowe boazerie, marmury, sauna automatyczna, meble, firany, żyrandole, narzuty, tkaniny dekoracyjne itp. Stanowiły one tzw. ponadstanadardowe wyposażenie, za które — zgodnie z przepisami — powinien płacić użytkownik. Ale ani Grudzień, ani Gierek nie płacili (pokryli jedynie drobne wydatki, m.in. Grudzień zapłacił za meble i firany).

Koszty trzeba było jakoś rozliczyć. Co prawda pierwotnie planowano, że pokryte zostaną ze środków inwestycyjnych na przebudowę ulicy Murckowskiej, ale nikt wtedy nie przypuszczał, że kwota będzie tak wysoka. Należało znaleźć dodatkowych inwestorów. Metody, jakie w tym celu zastosowano, ilustruje fragment wyjaśnienia dyr. Lesieckiego dla NIK: *„Odnośnie robót zewnętrznych wykonanych obok budynku SiP* (Grudzień i Adam Gierek — przyp. T.B.) *zostałem wezwany do gabinetu byłego ministra górnictwa, który w obecności Naczelnego Dyrektora ZBMPW* (Zjednoczenia Budowlano-Montażowego Przemysłu Węglowego — przypisek T. B.) *wydał mi decyzję o wystawieniu faktury (w kwocie 2.147.676 zł) do Przedsiębiorstwa Materiałów Podsadzkowych PW. Fakturację robót dokonano zgodnie z powyższą decyzją".*

Stosując podobne metody rozliczono pozostałe koszty, które pokryli: ODRM — 15,1 mln (ze środków na przebudowę ulicy Murckowskiej), Urząd Rady Ministrów — 7 mln oraz PBPW — 3 mln (wpisano w straty przedsiębiorstwa).

Bardziej bulwersuje to, co następuje potem. Budynki przekazane zostają odpowiednim instytucjom komunalnym. W dokumentacji inwentarzowa łączna ich wartość wykazywana jest na... 4,1 mln. O cóż tu chodzi, po co to fałszerstwo? Można się tylko domyślać. Widzę taką wersję zdarzeń: upływa kilka lat, dokumenty budowy umieszczone w archiwum zostają, zgodnie z przepisami, zniszczone; towarzysze Grudzień i Gierek postanawiają odkupić od miasta budynki, płacą kwotę równą wartości inwentarzowej pomniejszonej o amortyzację. [...]

Nabyte doświadczenia przydały się już w następnym roku, kiedy PBPW rozpoczęło budowę willi dla ministra górnictwa Włodzimierza Lejczaka i jego zastępcy. Tym razem wstępny kosztorys skalkulowano na 6 mln zł. Budynki kosztowały 11,3 mln. Do inwentarza wpisano 6 mln.

Inny był też inwestor — została nim kopalnia „Wujek". Był to bardzo dobry wujek dla szefów resortu. Najpierw załatwił środki inwestycyjne na budowę domków obu ministrów w wysokości 5,6 mln zł. Potem, gdy koszty okazały się wyższe od planowanych, wpisał 2,6 mln zł w koszt budowanej w tym czasie w kopalni łaźni. W ten sposób pokryto m.in. zakup 138 pozycji wyposażenia mieszkania ministra Lejczaka, o łącznej wartości sięgającej 770 tys. zł, na co złożyły się m.in. (według protokołu NIK): *„zestawy sypialne, stoliki okolicznościowe, komplety wypoczynkowe, zestawy stołowe, inne meble, lodówki, radia, zasłony, narzuty, pościel, koce, ręczniki, termometry, hydrometry i barometry, serwisy stołowe, kawowe, garnki, talerze, noże, widelce, łyżki, szczotki do ubrań i butów itp." [...]*

Czyżby minister rządu polskiego wciągu kilkudziesięciu lat życia nie dorobił się nawet nóży i szczotki do butów? Niewiarygodne! Odkrywam też inną prawdę: wiem już teraz, dlaczego kopalnia „Wujek" była zawsze najlepsza. Miała najlepsze wyniki kwartalne, najwięcej fedrowała ponad plan, z reguły była w gronie pierwszych meldujących o wykonaniu zadań rocznych. Rozumiem, dlaczego środki masowego przekazu ogłosiły, że kop. „Wujek" pierwsza wykonała plan ostatniej pięciolatki, chociaż kilka innych kopalń było szybszych. Rozumiem, dlaczego informacja o faktycznie najlepszych nie mogła znaleźć się w gazecie. [...]

Mimo tak wielkiej hojności pieniądze wyasygnowane przez kop. „Wujek" nie wystarczyły. Pozostałe 3,1 mln pochłoniętych przez budowę domków MW (minister i wiceminister) pokryło PBPW, zaliczając je sobie w straty. Konto strat PBPW pęczniało nieustannie. Wpisano na nim m.in. ponad 200 tys. za remont u wicepremiera Szydlaka, 163,5 tys. zł za remont i modernizację u sekretarza Baranowskiego, prawie 300 tys. za to samo u wicewojewody, a później wiceministra Fiuka (wielkodusznie wojewoda Fiuk zapłacił od razu 1316 zł za kominek), 42,5 tys. za modernizację u Szczepańskiego (tego, tego) i dziesiątki innych kwot na setki tysięcy złotych. [...]

Dzięki łańcuchowi dobrej woli, a może i niewoli, wielkie sumy ginęły rozproszone po uczestnikach tej niezwykłej metody księgowania. Tak między innymi „zgubiono" 65,5 tys. Lesia, 1,5 mln E. Gierka i innych. Pieniądze te w pełni nie wrócą do prawdziwych właścicieli. Przepadły na zawsze.

TADEUSZ BIEDZKI

po prostu

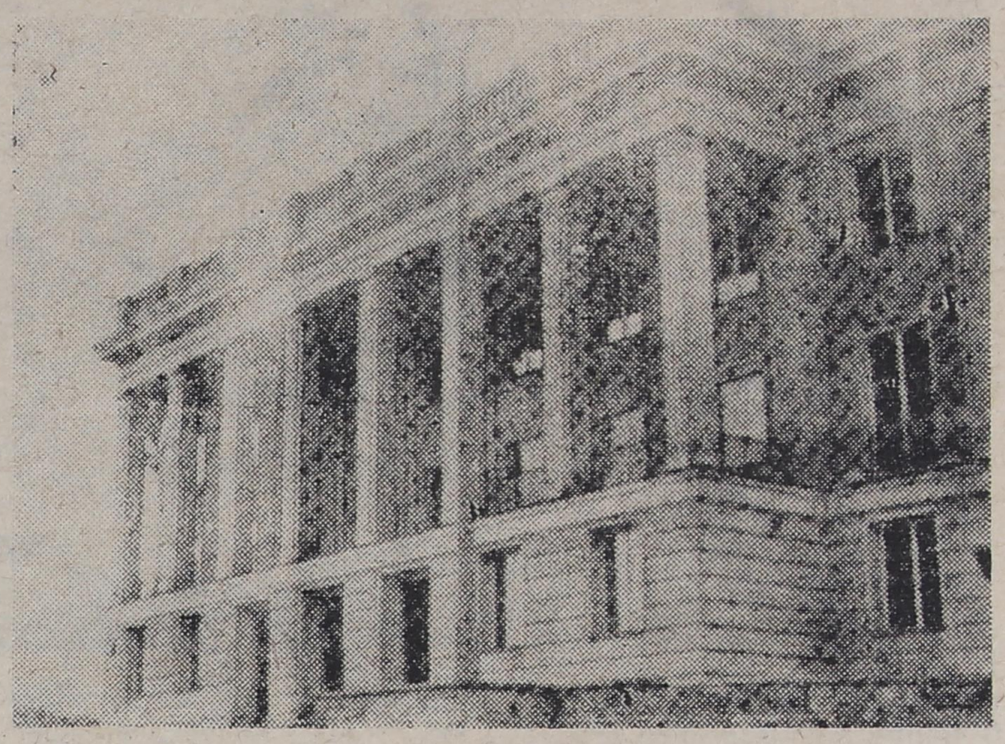

W Białymstoku wybudowano niepotrzebne luksusowe pałace dla urzędników

peryferie

W Łomży jest strach i nie ma wody. Uliczkami, po kocich łbach powybijanej jezdni turkocą żelazne obręcze wozów. Na miałki kurz z cystern woziwodów kapią krople wody. Jedno wiadro kosztuje złotówkę.

Dołem, u podnóża góry, na której rozsiadło się miasto, płynie Narew, zakażona ściekami ze szpitala zakaźnego. Rzeka w tej porze deszczów jest nabrzmiała, spęczniała wodą, u wierzchołka stoku zaś pracowite ręce ludzi wgryzają się w twardy grunt i drążą otwory studni artezyjskich. Łomża nie ma wodociągów, Łomża pije właśnie w ten sposób.

W Łomży nie ma płytkiej, podskórnej wody. W marcu zaczęto wiercić otwory. Ludzie dostali się na dziewięćdziesiąt metrów w głąb ziemi. Woda nie wyszła. Ludzie będą wiercić do głębokości stu trzydziestu metrów. Zanim tryśnie strumień, trzeba tłoczyć pod ziemię setki tysięcy złotych.

Dołem zaś, jak powiedziałem, płynie Narew, leniwie i ciężko. Posłuchajcie jej plusku. Czy rzeka potrafi złośliwie chichotać?

*

W hallu Komitetu Powiatowego wisi duża, malowana dykta. Czytam powoli, uważnie:

TABLICA ORIENTACYJNA
Wydziałów KP PZPR
w Łomży:

parter:

Stronnictwo Demokratyczne	pok. 8
Związek Młodzieży Socjalistycznej	9—10
Zjedn. Stronnictwo Ludowe	11—12
Komenda Hufca ZHP	13—14—15
Zw. Samop. Chłopskiej	16—17—18

Na piętrze, w sekretariacie, stoi pod ścianą kilka krzeseł, tęga maszynistka stuka na maszynie, a sekretarz PZGS-u przygląda mi się taksująco spod przymrużonych powiek. Instruktorzy trzaskają drzwiami i podają mi ręce. Wiem, że czynią to z nawyku, bowiem nikomu się jeszcze nie przedstawiłem i jestem dla nich tylko jednym z wielu interesantów. Obok mnie, na sąsiednim krześle, siedzi tęgi porucznik, komendant straży pożarnej i opowiada o ciekawych projektach. Strażacy uruchomią w powiecie trzy wytwórnie dachówek, będą je sprzedawali bardzo tanio, nawet po złotówce za sztukę, tym wsiom, które są najgęściej zabudowane i którym grozi w razie pożaru niebezpieczeństwo zupełnego zniszczenia.

Godzina mija prędko, jestem jeszcze świadkiem rozmowy telefonicznej z Białymstokiem, kilku innych rozmów o treści dość poufnej i wreszcie wychodzi sekretarz. Z okien jego gabinetu widać strzępy dawnej Łomży, miasta podobno pięknego, zamienionego w rumowisko jeszcze w trzydziestym dziewiątym roku, świecącego dziś łysinami niezliczonych placów i skwerków. Łomża podobna jest do Głogowa, upiorne wrażenie pustki i łatwych do odgadnięcia zniszczeń odczuwa się zwłaszcza wieczorem, o pierwszym zmroku.

W latach trzeciej niepodległości nie zbudowano tu prawie nic, nie licząc dwóch bloków dla rodzin ludzi kierujących powiatem. Liczba mieszkańców zmniejszyła się o połowę. Do Łomży się nie przyjeżdża, z Łomży się wyjeżdża, ucieka, i w Łomży Ziarnik mógłby nakręcić swoje drugie „Miasteczko". Kredyty inwestycyjne ślizgały się na pobliski Zambrów, w którym stworzono na zasadzie gigantomanii wielki kombinat. Na Zambrów więc, siłą rzeczy, przerzucano fundusze przeznaczone na budowictwo. W Zambrowie postawiono bloki, a teraz dawnej gminie wiejskiej, awansowanej do rangi miasta powiatowego, przybędzie trzy tysiące izb po wojsku.

W Łomży zaś nie ma gdzie mieszkać i w Łomży panuje bezrobocie. Łomża jest ślepą, końcową stacją. Każdy pociąg kończy bieg w Łomży.

*

Nad rzeką, na wysokiej nadnarwiańskiej skarpie tkwi miasto. Nad miastem, z dala widoczne, górują kościelne wieże. Nad rzeką, miastem i tymi wieżami wisi ponury cień Jana Ignatowicza.

Ludzie z Łomży brzydzą się donosami, ale tych ludzi doprowadza do pasji, że Ignatowicz wyraża się per „jakiś tam Gomułka". Ludzie w Łomży wierzą bowiem w nowe kierownictwo partii, wierzą w ósme plenum, które zatrzymało się za rogatkami, nie mając siły przebić muru kacykostwa, starych nawyków i głęboko zakorzenionych zwyczajów. W Białymstoku okulawiono rewolucję, czyż więc jest takie dziwne, że nie mogła ona dojść do Łomży?

Ignatowicz, stary praktyk-specjalista, krępy, niewysoki człowiek w zbyt obszernym ubraniu, tworzy w Łomży własną partię. Napisano o nim już dostatecznie dużo, i w „Po prostu" i w „Trybunie Ludu", by trzeba było streszczać jego biografię. Groźny człowieczek, opierający swą siłę na nielicznej grupce ludzi zaufanych, w rzeczywistości wyobcowany jest ze społeczeństwa, przejmuje jednak miasto strachem i w równej chyba mierze wstrętem. Jednostka do reszty aintelektualna, przeraża jednak tupetem i bezczelnością.

Na Walnym Zgromadzeniu PSS, chcąc przeforsować swego protegowanego, Czadzina, brutalnie zaatakował nauczycielkę Zofię Krawczyk, „ujawniając" jej rozbijacką działalność, przerwał przemówienie posłowi, jak ostatni warchoł-szlachciura zażądał zerwania obrad. Rozpoczął akcję wymierzoną przeciw znanej na całym terenie miasta działaczce spółdzielczej, Irenie Chojnowskiej. Będąc radnym Powiatowej Rady Narodowej próbował pogwałcić Konstytucję, łamiąc ustawę o ordynacji wyborczej. Mając wpływ na opinię, obdarza ludzi etykietkami; muszka przy koszuli prokuratora i białe, kordonkowe rękawiczki młodej dziewczyny, kierownika referatu kultury — są w jego pojęciu „urokami drobnomieszczaństwa".

A nie samymi urokami człowiek żyje i raz przyklejoną etykietę trudno jest odlepić. Etykietki zaś utrudniają, a czasem, przy sprzyjającym splocie okoliczności, uniemożliwiają nawet pracę.

Etykietką obdarzyć można i działacza partyjnego i przewodniczącego rady narodowej.

*

Głośna była sprawa przewodniczącego Powiatowej Rady Narodowej, Franciszka Anuszkiewicza. Dawny funkcjonariusz władz bezpieczeństwa w Białymstoku, później funkcjonariusz władz bezpieczeństwa w Łomży, cieszył się ludzkim zaufaniem i dlatego przetrwał jesień. Odszedł dopiero teraz, padając ofiarą prowokacji, po wypadkach, które nastąpiły na terenie powiatu kolneńskiego.

Jadąc samochodem, stanął w obronie swego szofera, który popadł w zatarg z milicjantami i wtedy okazało się, że posiada pistolet, na który nie ma oficjalnego zezwolenia. Przeprowadzono natychmiast dochodzenie, śledztwo zamknięto dość szybko i sprawę prokuratura przekazała do sądu. Anuszkiewicz oskarżony został o nielegalne posiadanie broni. Badałem kulisy tej historii, rozmawiałem na temat Anuszkiewicza z wieloma ludźmi. I w Białymstoku i w Łomży mówiono mi o prowokacji. Przy sprawie Anuszkiewicza raz jeszcze ukazał się cień Ignatowicza.

— Anuszkiewicz nie jest wrogiem — powiedział mi niewysoki, krępy człowiek w zbyt obszernym ubraniu.

— Anuszkiewicz poderwał jednak autorytet partii. Sam chciałem zatuszować jakoś tę sprawę, niestety jednak, prasa zrobiła zaraz naokoło tego wiele szumu. „Sztandar Młodych" zamieścił notatkę, poszło to na całą Polskę.

Siedziałem naprzeciw Ignatowicza, było to nasze pierwsze i ostatnie spotkanie. Przyszedłem do niego, znając już rolę, jaką odgrywał w życiu miasta, wiedząc o jego antypartyjnych wystąpieniach i złej sławie. Śniady, ciemnowłosy mężczyzna, nachylał się ku mnie poufale, patrzył mi prosto w oczy. Następnego dnia w Białymstoku, od przedstawiciela „Sztandaru", który napisał tę notatkę, dowiedziałem się, że wiadomość o wypadku Anuszkiewicza wyszła właśnie od Ignatowicza, z jego najbliższego otoczenia.

Łatwo chyba przyjdzie zbić obrońcy Anuszkiewicza zarzut o nielegalnym posiadaniu broni. Pistolet ten otrzymał bowiem przewodniczący PRN z rąk szefa bezpieczeństwa, za wiedzą i zgodą I sekretarza KP w Łomży. A do milicjantów Anuszkiewicz wcale nie strzelał. W magazynku nie było pocisków.

Mechanizm wykańczania ludzi jest jeden, posiada jedynie szereg wariantów.

*

Ulicami miasta wędrują przygarbione ciężarem krzyżaków i kubełków z wodą postacie ludzi. Kogo nie stać na złotówkę za wiadro, sam biega do źródła.

Ojcowie miasta mają do PSS-u pretensje o brak piwa. Ale piwa musi brakować, bo nie ma wody do mycia butelek. Łomżyńska wytwórnia wód gazowanych stanowi pewnego rodzaju curiosum, była bowiem jedynym tego typu zakładem w Polsce, który przynosił straty.

Brak jest wody. Brakuje wody temu czarnemu, młodemu kelnerowi z „Nadnarwianki", knajpy z szyldu III, a z wnętrza VI kategorii, facetowi o zainteresowaniach intelektualisty i rękach kopacza gliny, który siedzi przy służbowym stoliku zatopiony w lekturze gazety, dłubiąc w nosie i wałkując w palcach maleńkie kuleczki.

Dziobię z niedomytego talerza zimne, stwardniałe kartofle, jestem nieogolony, nieumyty, brudny prawie jak ten kelner i odkładając na bok brunatne skwarki, myślę o tych dwudziestu tonach solonej słoniny, które jełczeją powoli w magazynach PSS-u. Kilogram takiej słoniny kosztuje 33 złote, ale ludzie nie chcą jej kupować, wolą smalec. W całej Polsce, w samych tylko jednostkach ZSS zmagazynowano sześć tysięcy ton, do tego dochodzą jeszcze remanenty, zamrożone w CRS-ie.

Kilogram smalcu kosztuje zaś 39 złotych. Po to jednak, by przetopić słoninę, trzeba ją wysłać do Bydgoszczy, do rafinerii, solona słonina wymaga bowiem także oczyszczenia. Koszt oczyszczenia jednego kilograma smalcu, nie licząc transportu i opakowań, wynosi 15 złotych. Z kilograma słoniny uzyskuje się przeciętnie 70 dekagramów smalcu Nudne cyfry, które stanowią jednak kwintesencję naszej gospodarki. Bo słoniny nie można sprzedawać o piętnaście złotych, o dziesięć złotych taniej, gdyż minister Przemysłu Spożywczego polecił ją przetopić, a różnicę w cenie zapisać na straty. Żeby tylko nie zaspokoić niedosytu.

*

Dość już Łomży, strachu ludzkiego, bezrobocia i kolejek w sklepach rzeźnickich. Dość niepotrzebnych, wypruwających siły zmagań z mafią, siedmioletniego oczekiwania na coś, co było już bliskie, dotykalne i co jeszcze nie nadeszło.

Ucieczka nie jest lekka i łatwa. Ale pociąg w odwrotnym kierunku — zaczyna bieg w Łomży, a dwieście kilometrów na południe leży Warszawa, miasto europejskie.

JANUSZ CHUDZYŃSKI

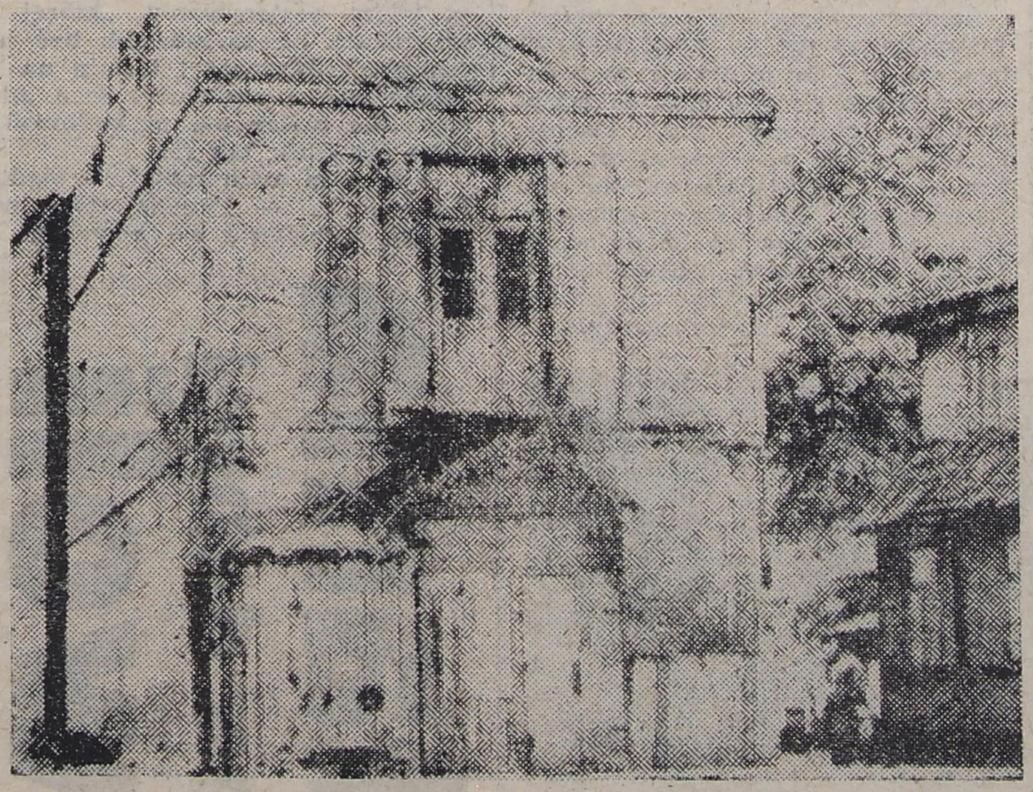

...i dzięki tym pałacom wielu ludzi pozostało w walących się ruderach.

Fragmenty reportażu oraz ilustracje — łącznie z podpisami — z 23 nr „Po prostu" z 9 czerwca 1957 r.

historia i dzień dzisiejszy

tama na dobrej woli

— Wiecie, jak jest zamróz, to i przejedzie, a jak popuści, szkoda gadać...

Święte słowa sołtysowej. Akurat mrozu nie było i marcowa pogoda tak rozpulchniła drogę, że samochód grzązł po osie. Należało nadłożyć kilkanaście kilometrów żeby dotrzeć do Kossaków Nadbielnych w Łomżyńskiem. Środkiem wsi — zamiast traktu — przebiega czarny, błotnisty wawóz, pełen wyrw i rozpadlin.

Męża Konopkowej nie ma w domu, ale to nie szkodzi; nie czekając na niego — sama podzieli się swoją krzywdą, przecież bezsporną. Zresztą nie tak znowu sama, bo, zwabieni przyjazdem kogoś obcego, schodzą się sąsiedzi i w chałupie migiem staje się ciasno. I zgiełkliwie, gdyż każdy głośno zaczyna tłumaczyć, o co poszło; każdy po swojemu i nie po porządku. Trudno zrozumieć z tego cokolwiek, przynajmniej z początku. Potem obraz zaczyna rysować się jaśniej, chociaż nie tak wyraźnie, jakby należało.

Poszło o tamę. O, widać ją dobrze, tylko trzeba przed chałupę wyjść. Ale wcale od tamy się nie zaczęło, tylko od zlewniarza. Taki może i urobi się, bo praca tylko na pozór prosta, ale jak sprytny, to nieźle się nachapie. Nic więc dziwnego, że robotę chciał utrzymać jak najdłużej. Po Kossakach chodzą słuchy, że zlewniarz rozmaicie sobie pensję podwyższał. Choćby procentem. Zlewniarz kombinował z tłuszczem w odstawianym mleku, znaczy: w oficjalnych papierach procent był wysoki, w rzeczywistości — mniejszy, i tę różnicę, w złotówkach, rzecz jasna, do kieszeni kładł. Kontroli zlewniarz wcale się nie bał, tylko ją przeganiał, tę z Zambrowa, bo już warszawskiej nie ośmieliłby się. Ale i tak wiedział, kiedy ona ma przyjechać, a skąd wiedział, nie sposób zgadnąć. Sześć lat zlewniarz tak z synem pracował nad tym mlekiem. Ludzie po kątach gadali, na głos — i nic. Dopiero Konopko, magazynier, się wściekł, w mleczarni podczas kontroli nawymyślał zlewniarzowi przy dyrektorze. No i zlewniarz z Konopką pobili się. Dyrektor na to ani słowa, ale zlewniarza dyscyplinarnie zwolnił.

I właśnie zaraz potem zaczęła się historia z tamą. Najpewniej z zemsty, chociaż tak naprawdę trudno stwierdzić, czy wyłącznie z tego powodu. Może nic godnego uwagi nie stałoby się w Kossakach, gdyby nie fakt, iż leżą na bagnach. Melioracja połaci Wizny zmieniła grząskie grunta w łąki, które użytkują gospodarze trzech wiosek. Póki lata były suche, a zimy w normie, wszystko przebiegało jak należy. Dojazd, choć nie asfaltowany, przecież służył nieźle. Ale kiedy latem lało jak z cebra, a zimy nie szczędziły śniegów, droga zamieniała się w maź i nawet lekki drabiniasty wóz z trudem dojeżdżał do łąk, a co dopiero ciągnik czy ciężka maszyna.

Temperatura afery w Kossakach nabrała rozpędu w listopadzie. Po mokrym lecie i niemroźnym początku zimy rów biegnący wzdłuż drogi, a wiodący w stronę osuszonych łąk, stale wzbierał wodą i wylewał ją na część gospodarstwa Kotowskiej. Kotowska nie namyślała się długo i — zwoławszy do pomocy znajomków — pobudowała kamienną zaporę. Momentalnie woda zmieniła kierunek i wdarła się bez przeszkód w obejście Konopków, przy okazji zamieniając drogę w potok, a teren zlewni mleka — w bajorko.

— I patrzcie, w piwnicy wody mieliśmy na metr. Ja nawet nie wiem, ile metrów ziemniaków wygniło przez to, ale z jakieś dwadzieścia na pewno. Lecz co tam ziemniaki, o krowy rozchodzi się najbardziej. Obok domu naszykowane leżały worki z nawozem sztucznym (mój przecież magazynierem jest) i czekały na odbiór. Jak woda poszła, to wymyła worki i pięć krów nam padło; przez paszę zatrutą mocznikiem. My specjalistyczne gospodarstwo mamy, razem krów piętnaście, i z tego aż pięć poszło! Reszta chorowała. Odszkodowanie mam, a jakże, zapłacili, ale gdzie tam odszkodowaniu do prawdziwej ceny krowy... Skargę do naczelnika nadaliśmy i naczelnik tamę kazał rozwalić. Kotowska nie chciała się przychylić do zaleceń.

Naczelnik tak pisał w uzasadnieniu: *„Ob. Kotowska Apolonia zakłóciła naturalny spływ wód opadowych wykonując w poprzek cieku przegrodę. Zmiana kierunku spływu wody spowodowała zalanie siedliska, w tym piwnicy, studni oraz zabudowań gospodarczych ob. Władysława Konopki, powodując tym samym duże straty"*.

Oprócz rozebrania tamy naczelnik nakazał Kotowskiej wpłacenie 1500 złotych do kasy gminnej. Kotowska odpowiedziała na to wszystko stoickim spokojem, więc naczelnik przyjechał do Kossaków osobiście i kilku robotników tamę rozburzyło.

W grudniu miało się odbyć w Kossakach wiejskie zebranie sprawozdawczo-wyborcze. Ale się nie odbyło, bo rozpędził je dawny zlewniarz. Teraz pora wyjaśnić, że jest znajomkiem Kotowskiej i on, między innymi, pomagał budować tamę. Na niedoszłe zebranie przybyli dyrektor zambrowskich Zakładów Mleczarskich i kierownik z Wojewódzkiej Spółdzielni Mleczarskiej w Łomży. Jak już donosiły „Kontakty", zdążyli tylko złożyć kossakówianom życzenia świąteczne, a potem już nic nie powiedzieli, bo zlewniarz narobił bałaganu i zebrani się rozpierzchli.

Święta rzeczywiście się udały, tylko akurat nie w sferze tradycji, lecz sensacji, bo u trzech gospodarzy pojawiło się w studniach jakieś świństwo, olej czy coś takiego. Poszkodowani, a — dziwnym trafem — byli to gospodarze niechętni zlewniarzowi, latali przez kilka tygodni do sąsiadów po czystą wodę. Ekspertyza, chociaż robiona aż w Krakowie, nie ustaliła, czy zatrucie wynikło ze spływu nieczystości niesionych przez wody powodziowe, czy też przez zwykłą ludzką złośliwość.

Potem nadszedł styczeń, woda znowu wezbrała i Kotowska, nie zważając na naczelnikowskie zakazy, pobudowała drugą tamę — mocniejszą jeszcze i bardziej szczelną. Konopkowie zaraz naczelnikowi donieśli o nowej tamie, a naczelnik na to: „Poczekamy, zobaczymy". Bo podobno przedtem zarządził wykonanie dokumentacji kosztorysowo-technicznej na właściwe przeprowadzenie cieku wodnego. Tak przynajmniej twierdzą kossakowianie i dodają, że j a c y ś od czasu do czasu pokazują się i coś mierzą, ale co — nie wiadomo.

W ogóle styczeń był w Kossakach Nadbielnych nabrzmiały w fakty. Najpierw wypadło wesele u sołtysów, a potem, jak to po weselu, gospodarze ociupinkę dłużej pospali. Po przebudzeniu sołtysowa zaszła do obory i oniemiała: trzy krowy leżały trupem! Najpierw pomyślała, że prądem, jak nic, zabite, ale potem w głowie jej pojaśniało, że to nie elektryka, bo przecież krowy, jednym pospinane łańcuchem, wszystkie padłyby jednocześnie. Więc nie, potrute! Weterynarz po badaniu powiedział: „Dudy popalone, płucka się rozlecieli". I wyjaśnił, że gdyby to elektryka zrobiła, miałyby krowy serca ściśnione.

Mięso poszło do masarni, o czym głośno krzyczeli zlewniarz i spółka, przeciwnicy sołtysa. Bo przecież mięso zatrute do sprzedaży się nie nadaje! Okazało się, że się nadaje, bo tylko drogi oddechowe były zakażone. Jak do tego mogło dojść? Ano, ktoś do paśnika musiał dodać czegoś, co...

Molestowany naczelnik nakazał powtórnie rozebranie i usunięcie tamy, bo stwierdził dużą złośliwość w takim postępowaniu, „której w stosunkach międzyludzkich być nie powinno". Wyznaczył termin na 10 lutego, potem przedłużył go o miesiąc. Ale nakaz nie poskutkował i tama jak stała, tak stoi.

— I co ja mam robić? — biadoli Konopkowa. — Pewnie znów nas podleje i historia się powtórzy.

Po przeciwnej stronie drogi, której suchą nogą przejść nie sposób, mieszka Kotowska.

— Bajki Konopki opowiadają! A u mnie woda nie stała? U mnie woda w oborze też stała! U mnie krowy też wyzdychały! Woda nadbrudzona, paprochy ze sobą niesie, Łączkę całą mi zalała. Naczelnik krewniakiem Konopków jest, to czują się pewni. A rów sami zasypują. Jakoby szedł swobodnie, leciałby aż do łąk i tam by ginął. Nie kierowałby się ani na nich, ani na drogę. Oni tak z zemsty robią.

Ze słów Kotowskiej można wysnuć interesujące oskarżenie: oto Konopkowie zasypują rów, żeby zalewać własne obejście. Tylko w jakim celu mieliby to czynić?

— Kto ich tam wie? — ciągnie Kotowska. — W każdym razie ja nie znam takiego przepisu, który zakazywałby własnego pola bronić. I ja mojego bronię. Czy ma być tak grząsko, żeby krowy nogi łamali? A w ogóle to naczelnika winię. Gdyby sprawą akuratnie pokierował, zgoda nastałaby. Tylko z Konopką kłopot. On chytrus jest. Tak stodołę pobudował, że na drogę wchodzi. Jemu o grunt idzie. Pół metra, meter, niby nic, ale zawsze więcej. I jak tamtędy dobrze drogę wytyczyć? A sołtys też nie lepszy. Sam sobie krowy potruł, pijany po weselu. Albo synalek z prądem pokombinował, bo to na trzeźwo? Konopki mądre, zaraz do gazety podają; załatwiają tak, bo potrafią. A w planach ten rów przydrożny wcale nie zaznaczony. Więc jasne, że nie zmeliorowany.

Sołtysowie, Konopkowie i inni też winią naczelnika: bo gdyby droga, o którą wieś prosi — ho, ho, jak długo — była należyta, żadna afera nie wybuchłaby. A tak Kossaki Nadbielne w całej okolicy ze złej sławy słyną. Bo czy sprawa ze zlewniarzem w ogóle mogłaby się urodzić, gdyby, jak gdzie indziej, częściej kontrole przyjeżdżały? Lecz komu się chce przez takie wertepy wędrować? W jaki sposób przy dobrze zbudowanej drodze Kotowska tamę potrafiłaby postawić?

Kotowską pocieszają kumowie: po co się martwi, skoro z wiosną, najpóźniej latem, dalsza melioracja rów zlikwiduje. Konopkowie medytują: czemu Kotowska nie chce się zgodzić na przeprowadzenie przez jej łąkę jednego kanaliku melioracyjnego, który by pozwolił na osuszenie drogi? Kotowska myśli: czemu spornego rowu nie przetkać i od niego nie przeprowadzić przepustów do kanałów melioracyjnych innych gospodarzy?

Naczelnika w Urzędzie Gminy nie ma. Wyjechał do Łomży. Na wspomnienie o Kossakach Nadbielnych przez cały Urząd przebiega głębokie westchnienie — wszyscy znają sprawę aż do znudzenia. Pewnie, droga dla wsi ważna, ale żeby tak od razu rozrabiać? Czy naprawdę rolnicy z Kossaków nie potrafią zająć się inną robotą? Mało to teraz trosk i kłopotów? Urzędników postawa kossakowian dziwi; milicję gminną, jak niosą słuchy, także. A w Zambrowie dyrektor Skalski z Wojewódzkiego Zarządu Inwestycji Rolnych wyjaśnia, że lepiej by było, gdyby Kotowska pozwoliła przeprowadzić ciek przez swoje gospodarstwo, bo taką drogę wytycza naturalny spadek wody. Każde inne rozwiązanie napotyka duże kłopoty i oznacza większe finanse.

Ale o czym tu teraz mówić, skoro prace melioracyjne we wsi Kossaki Nadbielne przewiduje się za dwa lata. To w teorii, bo w praktyce — nie wiadomo. Więc przedwcześnie pocieszają kumowie Kotowską; rów nadal jest groźny — dla niej, dla Konopków i dla reszty gospodarzy. Mało: dla okolicznych wiosek także, bo przecież ludzie mają prawo dostać się na swoje pobagienne grunta.

Jak dotąd, sprawa tkwi w martwym punkcie. Z jakiej przyczyny rozwinął się konflikt, który ogarnął całą wieś i podzielił ją na dwa stronnictwa, tego nie sposób dociec. Właściwie cała intryga nie trzyma się logiki. Bo — na chłopski rozum — co ma zlewniarz do tamy, zaś Kotowska do Konopków? A jednak ma, skoro nawzajem tak bardzo wchodzą sobie w paradę. Zadra musi gdzieś tkwić głęboko, zadawniona i bolesna. Jednakże nikt z Kossaków Nadbielnych nie kwapi się uchylić rąbka tajemnicy.

MONIKA WYSOGLĄD
Fot. GABOR LŐRINCZY

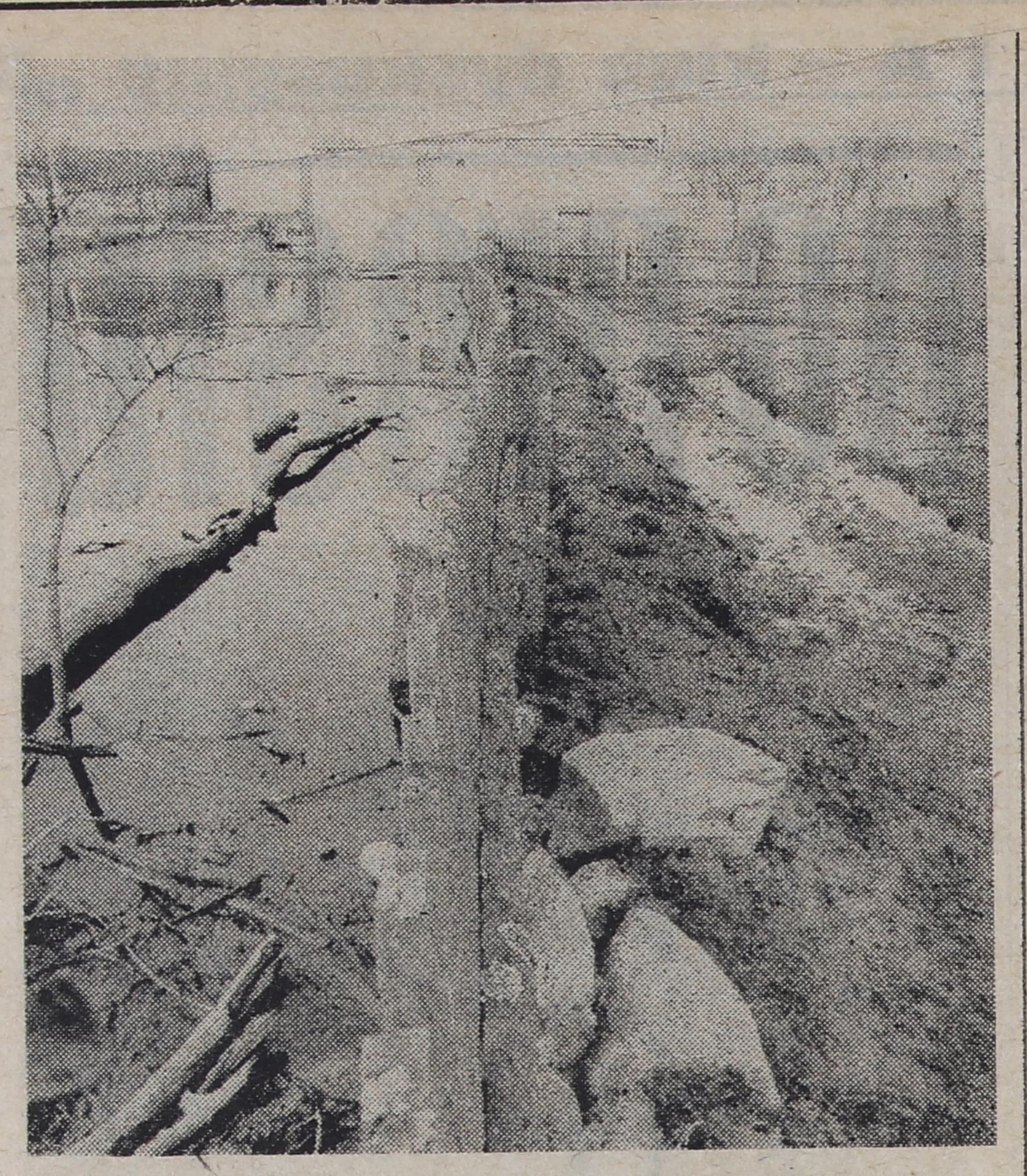

gdy muza szuka guza

Salkę powoli przenikał zapach indyjskiego kadzidła. Kobieta w kunsztownie udrapowanej sari, z czerwoną, rytualną kropką na czole, bezszelestnie zajęła miejsce w półcieniu. Rozległy się dźwięki dostojnej ragi. Za szybą neony głównych ulic wydobywały z mroku newralgicznych punktów miasta duże litery na plakatach: *„»Klasyczna muzyka Indii — Ragamala«, Klub-Galeria, g. 17 i 20"*.

Jeszcze rok temu nową ideę traktowano w Łomży dość sceptycznie. W pomysłodawcy, Wiesławie Sielskim — naczelnym plastyku województwa — upatrywano szarlatana z „Przybyszewa", a konsekwencje działań prezydenta Jerzego Newelskiego girlandy tubylczych urzędników przyjmowały ze zdroworozsądkowym oburzeniem przeżuwaczy telewizyjnej kultury.

Po czterech miesiącach przygotowań prawnych, finansowych, techniczno-lokalowych i personalnych zamysł przybrał konkretną formę, która ujrzała światło dzienne 23 kwietnia ubiegłego roku. Tego dnia w łomżyńskim klubie „Bonar" kilkudziesięcioosobowe środowisko artystyczne województwa zainaugurowało działalność programową nowego przybytku sztuki. Świeża farba na szyldzie przy drzwiach wejściowych układała się w tasiemcowy napis: *„Miejski Dom Kultury — Dom Środowisk Twórczych w Łomży"*.

Z braku możliwości uzyskania własnej siedziby placówkę tymczasowo zlokalizowano (na zasadach gościnnych) w pomieszczeniach „Bonara", gdzie przetrwała do 15 grudnia ubiegłego roku, tj. do dnia otwarcia Klubu-Galerii MDK-DŚT lokal po dawnej galerii ZPAP „Plastyka" przy Placu Żegłickiego).

— Sześćdziesiąt metrów kwadratowych to dużo i mało — snuje paradoksalny wywód dyrektor placówki, Joanna Zwoleńska. — Dużo, bo istnieje; mało, gdyż musi wystarczyć do obsługi większości imprez i pomieścić środowiskowych bywalców.

Długa i enigmatyczna nazwa przybytku miała od pierwszych chwil stać się symbolem nieporozumień wokół nowej siedziby muz. Dla wielu urzędników, ocierających się służbowo o kulturę, działaczy społecznych i miejskich radnych, przystępny był tylko (na mocy ich dotychczasowych doświadczeń) pierwszy człon nazwy; dlatego — przymykając oczy na jego drugą część — wprowadzali i uc erali w powszechnym obiegu określenie: „Miejski Dom Kultury", a równocześnie z tą operacją egzekwowali powinności, jakich od municypalnego domu kultury domagać się wypada. Grodzcy rajcowie stawiali więc forum sesji miejskich wobec podstawowego pytania: dlaczego placówka nie organizuje młodzieżowych dyskotek? Wydział Kultury i Sztuki UW domagał się — w ścisłym terminie — programu imprez na Międzynarodowy Rok Szymanowskiego; Komitet Wojewódzki PZPR alarmował o przysłanie uczniów do recytacji podczas transmisji pierwszomajowego pochodu, grożąc sankcjami służbowymi, a zauroczony Komitet Miejski prosił o zorganizowanie spotkania z literackim piewcą Łomży, Józefem Stomporem, *„dla którego nasz gród jest najpiękniejszym miastem w Europie"*.

Jasna krew zalewała personel Domu Środowisk Twórczych na te dyrektywy i *„powierzanie ważnych zadań na odcinku kształtowania socjalistycznego oblicza kultury polskiej"*, gdyż do zatroskanych o prawidłowy rozwój placówki nie docierały argumenty o konieczności działania zgodnego ze statutem jednostkowym Domu. A i bez tych odgórnych utrudnień labirynt problemów był wystarczająco skomplikowany.

Gdy 23 kwietnia 1980 r. gasły światła w sali klubowej, a *clou* części artystycznej — Novi Singers — składali sprzęt muzyczny, uczestnicy inauguracji wynosili z imprezy ambiwalencję nadziei i powątpiewania, czy pomysł ostoi się w łomżyńskich reliach, i świadomość, że w początkujący wieczór placówka dysponowała półtoraetatową obsadą, nie miała własnego biura, środków transportu, sprzętu audiowizualnego, urządzeń technicznych, a jej budżet wydatków wynosił raptem 282 tysiące złotych, z czego na delegacje służbowe ani złotówki, zaś na jeden z najważniejszych paragrafów — fundusz bezosobowy — 5 tysięcy złotych.

Statut MDK-DŚT określa go jako placówkę, do której zadań należy *„działalność twórcza zmierzająca do wzbogacenia, poszerzenia i inspirowania ciekawych poszukiwań artystycznych twórców zrzeszonych w MDK-DŚT, jak również innych, wnoszących trwałe wartości w rozwój kultury narodowej; akcje i działania interdyscyplinarne integrujące przedstawicieli różnych środowisk twórczych"*. Za podstawowe środki działania placówka uważa prezentację awangardowej sztuki polskiej i obcej, polegające na pokazie dorobku danego twórcy i dyskusji artysty z odbiorcami o założeniach dzieła oraz jego realizacji, gromadzenie zbiorów sztuki nowoczesnej, zbieranie dokumentacji prezentowanych zjawisk artystycznych i przedsięwzięć z teorii sztuki, tworzenie specjalistycznego księgozbioru — szeroko rozumianej — kultury artystycznej oraz prowadzenie działalności wydawniczej.

Zgodnie ze statutem — budową planu działań ma się zajmować Rada Programowa, będąca również ciałem doradczym i koordynującym bieżące prace Domu. Wkrótce jednak dwudziestokilkuosobowe ciało, złożone z osób reprezentatywnych dla łomżyńskiej kultury, po kilku próbach sprawdzenia ich aktywności, przybrało postać skromniejszą ilościowo, za to wypełnioną duchem entuzjazmu dla sprawy, obowiązkowością i operatywnością działania, a tę przemianę usankcjonowało przekształceniem nazwy Rady Programowej na Radę Klubu. Są w niej — jak w starej — przedstawiciele środowisk twórczych, ale obok nich: lekarz weterynarii, pracownica Wojewódzkiego Urzędu Statystycznego, uczeń technikum.

Od pamiętnego 23 kwietnia mija właśnie rok. Jest więc okazja do małego obrachunku. W tym krótkim czasie statystyczny obraz pracy Domu zawierał w dniu 31 marca br.: 9 prezentacji plastycznych, 13 spotkań autorskich, 11 koncertów, 18 pokazów filmowych, przedstawienie teatralne, plener fotograficzny, seminarium filmowe i warsztaty teatralne. Faktycznie ponad tę ilość wybija się jakość podejmowanych przedsięwzięć, związana ze stopniem trudności ich realizacji. I tak MDK-DŚT gościł m.in.: zespół Novi Singers, duet gitar klasycznych Albert-Strobel, „Ossjan", „Ragamalę"; prezentował fragment międzynarodowej ekspozycji „Venus '78", awangarodowe filmy Zdzisława Sosnowskiego i Teresy Tyszkiewicz z Galerii „Studio" w Warszawie, wystawę amerykańskiej typografii czasopiśmiennej; podejmował redaktora Edmunda Męclewskiego, aktorkę Teatru Studio, Ewę Kozłowską, reżysera Andrzeja Chodakowskiego; prezentował, nagrodzone na międzynarodowych festiwalach, filmy krótkometrażowe, zorganizował kilkudniowe działanie parateatralne Ośrodka Badań i Realizacji Praktyk Teatralnych „Gardzienice" z udziałem stażystów z Australii, Francji, Hiszpanii, Norwegii i USA; przeprowadził ogólnopolskie seminarium filmowe: „O szacunek do pracy, ludzką godność i solidarność", na którym prezentowano dorobek polskiej kinematografii ostatnich lat, wstrzymywany dotąd.

Część programu realizowana jest w obrębie działalności klubów i kół zainteresowań zrzeszonych w placówce. Od lipca patronuje ona Dyskusyjnemu Klubowi Filmowemu „To tu", którego 130 członków, co drugi piątek, może oglądać rarytasy kinomatografii światowej w gościnnej sali kina „Październik".

We wrześniu rozpoczął swoją działalność 14-osobowy zespół teatralny, złożony z młodzieży szkół średnich; jego 5 członków jest laureatami ogólnopolskich konkursów recytatorskich.

W klubie „Bonar" spotyka się nadal koło esperantystów, pracujących pod patronatem MDK-DŚT od listopada ubiegłego roku. Przeszło dwudziestoosobowa grupa uczęszcza na kursy językowe I i II stopnia, przygotowuje się do wyjazdów szkoleniowo-metodycznych w kraju i za granicą. DŚT zapewnia im specjalistyczne czasopisma, reklamę, pomoc organizacyjno-finansową i sprzęt audiowizualny.

W styczniu zebrał się po raz pierwszy klub miłośników tańca. Na comiesięcznych spotkaniach 20-osobowe koło odbywa zajęcia praktyczne oraz z teorii i historii tańca.

Najmłodszą grupę klubowiczów stanowią, ukonstytuowani w lutym br., członkowie Dyskusyjnego Klubu Politycznego, który zainaugurował swą działalność spotkaniem z Edmundem Męclewskim.

Drugą strukturę programową tworzą poszczególne środowiska twórcze. Najaktywniejsi są plastycy. Nie sposób nie wspomnieć o Jerzym Swolińskim, stale przygotowującym oprawę reklamowo-graficzną prezentowanych wystaw, a ostatnio organizującym pod szyldem MDK-DŚT ogólnopolski plener malarski dla czołowych plastyków z kraju i środowiska łomżyńskiego. Ze strony literatów wyróżniają się inicjatywy poety Jana Kulki, dzięki którym klub gościł Ewę Kozłowską, Wiesława Kazaneckiego, Dionizego Maliszewskiego, a już w czerwcu będzie współgospodarzem ogólnopolskiego sympozjum literackiego, z udziałem kilkudziesięciu znakomitości polskiego pióra.

— Na tym tle razi marazm, pokaźnego liczebnie, Łomżyńskiego Towarzystwa Fotograficznego, środowisk muzycznego i dziennikarskiego — Wiesława Wiśniewska, instruktorka w MDK-DŚT, nie ukrywa rozczarowania.

Rozmach działania, szczególnie widoczny w tym roku, nie może jednak przysłonić trudności, z jakimi nadal boryka się DŚT. O ile na dobrej drodze są pertraktacje z prezydentem o lokal z prawdziwego zdarzenia (zapowiada się przejście klubu „Bonar" do dyspozycji MDK-DŚT, kończy się adaptacja piwnicy w Klubie-Galerii), o tyle nadal kuleje strona finansowa działalności. Tegoroczny budżet na wydatki zamyka się kwotą 630 tysięcy złotych, z czego na płace — 222 tysięcy. Na najważniejszym paragrafie, tzw. bezosobowym, znajduje się zaledwie 15 tysięcy złotych, co w porównaniu z rokiem ubiegłym (5 tysięcy złotych) jest już pewnym postępem, ale sama kwota nadal pozostaje śmiesznie niska, jeśli zważyć, że większość twórców awangardowych nie jest zarejestrowana w stowarzyszeniach twórczych. Jak w takiej sytuacji organizować wartościowe imprezy, skoro spektakl teatralny na poziomie artystycznym kosztuje od 10 tysięcy złotych wzwyż, występ zespołu muzycznego — 6 tysięcy, a prelekcja — tysiąc złotych.

Mimo tych i innych kłopotów na ścianie malutkiego pokoiczku biurowego MDK-DŚT, nad Halą Targową przy Placu Żeglickiego, co miesiąc pojawia się szara płachta robocza z wykazem imprez na najbliższe 30 dni; imprez, których nie powstydziłaby się renomowana placówka kultury.

Kiedy jednak zapytać łomżyńskiego inteligenta czy „rozbudzoną kulturalnie" młodzież tutejszego liceum ogólnokształcącego o kulturę w Łomży — usłyszy się niezmienną odpowiedź: „Nie ma gdzie pójść, to prowincja, ciemnogród".

Prosimy o więcej światła na Dom Środowisk Twórczych.

JULIUSZ ŚWIREDO
FOT. GABOR LÖRINCZY

penetracja

DOKOŃCZENIE ZE STR. 1

Dziś mówi się o nas, że poświęciliśmy się. Nazywa się nas patriotami, bohaterami. To dobrze, że historia Polski z coraz większą odwagą oddaje nam sprawiedliwość i należny szacunek. My, żołnierze, spełnialiśmy tylko swój obowiązek. To prawda, był on ciężki, trudny, niebezpieczny, ale tak przecież działo się na każdym froncie. Pamiętam moje rozmowy z kolegami. Wszystkich przenikało jedno wielkie pragnienie: pokonać Niemców, odwiecznego wroga Polaków. To była nasza

Z tysiącletniej i jednej nocy

myśl przewodnia. Służyliśmy Ojczyźnie z serca, choć z dala od jej granic.

O anderszczakach nie mówiło się przedtem życzliwie. Nazywano nas dezerterami, żołnierzami Polski sanacyjnej. Pamiętam, w roku 1970 miałem prelekcję w Liceum Medycznym w Łomży; dostałem od dyrekcji szkoły zaproszenie. Śmiech mówić: prosili, żebym opowiedział młodzieży moje przejścia z drugiej wojny światowej, i przeznaczyli na to... piętnaście minut! Przede mną wypowiadał się pułkownik. Mówił przez trzydzieści, może czterdzieści minut. Stwierdził między innymi: „Anders zdezerterował wraz ze swoim wojskiem. Uciekł do Persji, a myśmy tworzyli armię kościuszkowską". Nie pierwszy raz spotkałem się z takim określeniem, lecz to szczególnie mnie ubodło. Pomyślałem sobie: po co ja tu jestem? Zastanawiałem się, co zrobić? Wyjść nie wypadało, bo jeszcze by wyśmiali; zostać i powiedzieć prawdę, znaczyło: narazić się na posądzenie o Bóg wie co. Miałem jeszcze trochę czasu do zastanowienia się, bo przywoływał swe wspomnienia żołnierz Armii Krajowej.

Wreszcie przedstawili mnie: „Starszy sierżant Bolesław Makuszewski. Walczył w armii generała Sikorskiego". Wyszedłem. Ukłoniłem się. Obok stała cała świta: władze miasta, sekretarze, dyrektorzy. Zwróciłem się do nich: „Proszę państwa i kochana młodzieży. Mam wam opowiedzieć o moich wojennych przeżyciach, lecz zanim do nich przejdę, pragnę ustosunkować się do tego, co przed chwilą powiedział szanowny pan pułkownik. Nie zdziwiłbym się, gdyby tak o armii Andersa wyraziła się baba ze wsi, która tylko krowy doi i kartofle kopie, a ponadto o niczym nie wie, bo nie wygląda nawet za płot swego gospodarstwa. Ale pan pułkownik jest przecież oficerem sztabowym, więc i politykiem, strategiem, taktykiem. Stąd więc płynie moje zdumienie, że on jeszcze o Andersie nie zna całej prawdy. Związek Radziecki zadokładnie strzeże swoich granic, żebyśmy stamtąd mogli uciec do Persji. Opuściliśmy ten kraj na mocy porozumienia międzynarodowego i jeszcze Stalin podstawił nam swoje statki, żebyśmy przepłynęli Morze Kaspijskie. Uczyniliśmy to dlatego, że byliśmy bardzo potrzebni na Bliskim Wschodzie. Gdyby nas tam zabrakło, kto wie, czy Hitler by nie zwyciężył, bowiem w tym właśnie czasie słał w kierunku państw arabskich w Azji Mniejszej generała Römmla, zwanego „lisem pustyni". Miał on zdobyć źródła ropy naftowej i otworzyć wojskom niemieckim drogę na Kaukaz. Byliśmy tam potrzebni, panie pułkowniku. Nie mogliśmy dopuścić, żeby Niemcy zdobyli ropę. Wyrządzaliśmy w ten sposób również niemałą przysługę i frontowi wschodniemu".

Wszyscy słuchali mnie przeszło trzydzieści pięć minut. Młodzież biła mi największe oklaski. Widocznie podobała się jej moja odpowiedź. Obawiałem się tylko, czy mnie za nią nie posadzą.

Nieraz słyszałem właśnie takie dziwne dygresje: „dezerter", „walczył nie o Polskę", „był nieświadomy ówczesnej sytuacji politycznej". Nie zastanowił się jeden z drugim, że walczyliśmy z tym samym wrogiem, i tak samo, jak Polacy na wschodnim froncie, myśleliśmy o Polsce. O niej codziennie śpiewaliśmy żołnierskie pieśni, na przykład tę: „Raz dwa, lewa, prawa. Coraz bliżej jest Warszawa".

Dziś cmentarz na Monte Cassino odwiedzają wszystkie narody świata i poległym Polakom, właśnie żołnierzom generała Andersa i Sikorskiego, składają najwyższy hołd. Uczynił to także nasz papież. Bardzo głęboko przeżywałem tę chwilę.

Dlaczego zawsze musimy się dać wywieść w pole? Wschód nas potępił. Zachód oszukał. Szlag mnie trafia, gdy słyszę, jak dzielnie w tej wojnie walczyli Anglicy. Bomby waliły, paliło się dookoła, a ci, we dwóch, w trzech, zadekowali się pod mostem i parzyli herbatkę. Dyletanci i smakosze, nie żołnierze! Lecz na nas, Polaków, zawsze umieli krzywo patrzeć. Nie żyliśmy z nimi nawet w zwyczajnej ludzkiej zgodzie, a co mówić o przyjaźni.

We Włoszech knajpy znajdują się przeważnie na drugim piętrze. Awantury Anglików z Polakami wybuchały tam bardzo często. Po schodach wtedy nie schodzili. Woleli wyskakiwać przez okna. Przytrafiały im się różne przypadki, na przykład złamania nogi, ręki, kręgosłupa. Jedną z takich potyczek zapisałem na swoim koncie i ja.

Było to nieco wcześniej, w Bagdadzie. Mówię do mojego kolegi: „Chodź obejrzeć to legendarne miasto, znane z latających dywanów, z »Tysiąca i jednej nocy«, »Przygód Sindbada«. Nie wiadomo, kiedy uda się nam być tu po raz drugi". Po drodze wstąpiliśmy do knajpy. Jej właściciel, Arab, zaserwował nam koktajl. Kilka metrów od naszego stolika siedziało dwóch Anglików. Nagle usłyszałem, jak jeden powiedział do drugiego: „You fucken Polish". Po czym, wskazując na nas, zanieśli się śmiechem. Byłem wtajemniczony w język angielski mniej więcej na tyle, co: „moja twoja być wasza", lecz sens ich wypowiedzi zrozumiałem bardzo dobrze. Poinformowałem kolegę: „Oni nazywają nas pierdolonymi Polakami", podszedłem do nich i im walnąłem: „You fucken English". Jeden z nich podniósł się, zachylił rękawy i wyzwał mnie do walki bokserskiej. Wiedziałem, że Anglicy boks uprawiają od dziecka, więc musiałem narzucić inną broń. Złapałem za nogę od stołu (miał taką konstrukcję, że z miejsca się rozsypał) i zacząłem okładać nią Anglika po plecach, po tyłku, jak popadło. Obu tak załatwiłem. Cała knajpa patrzyła na tę scenę.

Zwinęli się bardzo szybko. Po pewnym czasie przyszła cała komisja: dwóch oficerów, polski i angielski, arabski milicjant oraz ci dwaj, mocno obandażowani. Powiedziałem, jak było. Pytają Anglików, czy rzeczywiście nam ubliżali, a oni: „Yes". Właśnie, to było u nich dobre, że nie kłamali. Byli leniwi, powolni, lecz zawsze przyznawali się do prawdy. Później obaj przepraszali nas za to i, na zgodę, postawili dobry trunek. Wdzięczny był nam też właściciel knajpy za ujarzmienie tych dwóch, bo oni ciągle robili mu awantury; traktował nas jak wybawców i fundował najlepsze napitki.

Anglicy nie lubili też Sikorskiego. A wie pan, widziałem go na kilka godzin przed jego śmiercią. W tym samym dniu przyjmował na lotnisku defiladę polskich wojsk w Tel Awiwie. Obok niego, na podwyższeniu, stali adiutant i córeczka Sikorskiego. W południe przyjmowałem

dziedzictwo

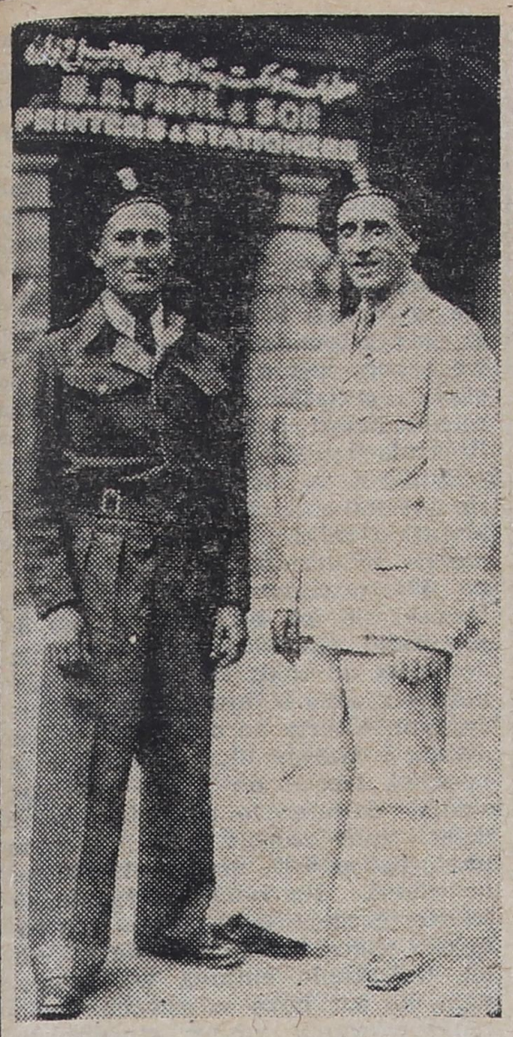

służbę oficera inspekcyjnego w brygadzie, a wieczorem dowiedziałem się o tragedii. Do dziś nie wiem, kto mógł to zrobić. Część oficerów pogrążyła się w żałobie, a część balowała do późnej nocy. My, prości żołnierze, zrozumieliśmy, że wśród naszego dowództwa toczy się już walka o koryto.

Najcięższe bitwy? Było ich dużo. To nieprawda, że Niemcy na Zachodzie walczyli z mniejszą zaciekłością lub chętniej oddawali się do niewoli niż na froncie wschodnim. Każda wygrana kosztowała wiele ofiar. Jedne miasta zdobywaliśmy szybciej, inne wymagały czasu. Liczyło się wszystko: umocnienia, podejście, położenie. Mieliśmy przeważnie tereny górzyste. Trzeba było zdobywać szczyt po szczycie, wzniesienie po wzniesieniu.

Na przykład przed atakiem na Ankonę (stacjonowaliśmy wtedy w Loretto) generał Anders wydał rozkaz podania dokładniej informacji na temat ataku: godziny i daty uderzenia. Byliśmy zdezorientowani. Myśleliśmy, że on na głowę upadł albo, że atak nastąpi w zupełnie innym dniu. Ale gdzie tam! Niemcy od strony Loretto przygotowali nam fest obronę. Część naszych wojsk zaszła ich od tyłu i w ten sposób wzięliśmy ich w dwa ognie. Z początku potraktowali nas jako własne posiłki, a gdy się zorientowali, było już za późno. W podobne zdumienie wprawiliśmy piekarzy w Ankonie, bo, penetrując miasto, wpadliśmy także do piekarni. Krzyczymy: „Hände hoch!", a ci stanęli w osłupieniu, z głupimi uśmiechami na gębach, i nie wiedzieli: podnosić ręce czy potraktować to jako żart.

Z Ankony ruszyliśmy na Rynię, a stamtąd na Fredapio, rodzinne miasto Mussoliniego. Pod drzewami znajdowało się lotnisko, schrony. Zdobyliśmy jedno i drugie. W nasze ręce padło także miasteczko Ciento. Byłem lekko ranny pod Tobrukiem, pod Monte Cassino, a nieprzytomnego, poparzonego i z kawałkami żelaza w ciele, przywieźli mnie do szpitala spod Pilimontu. Lekarz, mjr Rosenkrau, Żyd z Łodzi, zapewniał mnie: „Nie masz się czym przejmować. Wszystko będzie w porządku. Na twarzy nawet ślad nie pozostanie". Rzeczywiście, ten przypadek zakończył się szczęśliwie.

Drugie niebezpieczeństwo, z duszą na ramieniu, przeżyłem podczas patrolu. Miałem wówczas spenetrować budynek, w którym ponoć urzędował niemiecki sztab. Udzielono mi dodatkowych informacji, wręcz ostrzeżenia: „Ty uważaj, bo poprzedni patrol nie wrócił". Wziąłem z sobą słynnego rzezimieszka i jeszcze jednego. Linię frontu jakoś przeszliśmy. Cel naszej wyprawy tkwił samotnie wśród pól, w pobliżu stogów siana, a dookoła cisza jak makiem zasiał. Jeden z nas wszedł do środka, a my dwaj osłanialiśmy go ze stogu. Włoszka przyniosła temu w środku dzban wina, a zaraz za nią przyszło dwóch Niemców. Wówczas my pobiegliśmy do domu i zaskoczyliśmy ich. Zaprowadzili nas do schronu. Zdobyliśmy bardzo cenne mapy i ważny punkt oporu. Padło kilku szwabów. Uradowani wróciliśmy do obozu. Mieliśmy szczęście, że w tym akurat dniu sztab nie urzędował, bo mogłoby się wszystko inaczej potoczyć.

Warunki, nie powiem, mieliśmy niezłe. Sznurowana płachta przysługiwała każdemu. Stanowiła ona jednocześnie trumnę, bo w niej chowano poległego żołnierza. Na tydzień — od plutonowego wzwyż — otrzymywaliśmy pół litra dżinu i kilka piw. Mieliśmy też pod dostatkiem papierosów. Mnie dodatkowo sprzyjały szczególne okoliczności: byłem kierowcą generała Tyszkiewicza. Przez pewien czas prowadziłem kasyno. Słynąłem ponoć wśród żołnierzy jako dobry kierownik, który dziennie więcej niż pięćdziesiąt gram nie wypije. Lubowałem się w trunkach i po trochu pociągałem, lecz z każdym. Raz przyszli moi przełożeni, w tym również pułkownik: „Makuszewski — powiedział — chodź ze mną, wypijesz sto pięćdziesiąt". Nalał jedną pięćdziesiątkę, wychyliliśmy. Drugą chce nalewać, a ja mu na to: „Następną, panie pułkowniku, wypiję jutro rano. Taka jest moja zasada". Próbował nalegać, ale nic z tego nie wychodziło, więc ustąpił. Dopiero później dowiedziałem się, że przegrał o mnie zakład.

Z pierwszą lokatą ukończyłem kurs mechanika w Wielkiej Brytanii i codziennie zapoznawałem się ze stratami naszej brygady. Naprawialiśmy czołgi, samochody. Nie zawsze nadawały się do remontu. Ludzie szli na cmentarz, a sprzęt na złom; później do przerobu. Nieraz z pola bitwy wracał tylko czołg, bo wszyscy polegli. Zamiast osiemdziesięciu — wracało dwudziestu, trzydziestu. Nigdy nie zastanawiałem się, kiedy mnie to spotka.

W roku 1947 dokonywałem kasacji sprzętu. Grupowaliśmy kule, czołgi, samochody. Było to w Belgii. Tam doszła do mnie wiadomość o śmierci mojej żony. Zabił ją człowiek z NSZ-u. Należała do ORMO, do partii. Popierała dzisiejszy ustrój, który wtedy wymagał ofiar.

Wróciłem do domu akurat w niedzielę. Strażacy mieli zbiórkę. Powitali mnie bardzo pięknie, z honorami, i z miejsca przypisali mnie do piastowania funkcji naczelnika szczuczyńskiej OSP. Jestem w jej szeregach sześćdziesiąt jeden lat.

Cieszę się, że mogłem walczyć o Polskę i wolną ją zobaczyć. Rozpierała mnie dumna, gdy widziałem nowe zakłady pracy, szpitale, sanatoria. Czasami dziwiłem się, skąd się na to biorą pieniądze. Teraz wszystko do mnie dotarło: zaciągaliśmy pożyczki. Nasi mężowie stanu byli hojni poza granicami kraju. Dzielili. Rządzili. Teraz mamy kartki. Nie o taką Polskę walczyłem. Wy, młodzi, możecie liczyć, że będzie lepiej, ale nam, emerytom, weteranom, nie wypada nic innego, jak zadowolić się tym, co jest.

Gdy się urodziłem, była rewolucja 1905 roku. Zacząłem chodzić do drugiej klasy w szkole rosyjskiej — wybuchła pierwsza wojna światowa. Za kilka lat — znów wojna, polsko-radziecka. Nie miałem takich warunków do zdobycia wykształcenia, zawodu, w jakie opływa obecna młodzież.

To prawda: podczas wojny zwiedziłem 22 stolice europejskie i setki pomniejszych miast. Zdobyłem wiele doświadczeń. Ogromnie się cieszę, że doczekałem się historycznego zadośćuczynienia. Ze łzami w oczach przyjąłem wiadomość o decyzji sprowadzenia do Polski prochów naszego wodza, generała Władysława Sikorskiego, i złożenia ich obok królów, w katedrze na Wawelu. Radość, jaką z tego powodu przeżywam, jest podobna do tej, której doznałem na wieść o zakończeniu wojny. Myślę, że wezmą w tej uroczystości udział wszyscy żyjący jeszcze kombatanci. Będzie to na pewno nasze piękne spotkanie. Odnowimy adresy, znajomości. Gdy rozstawaliśmy się, każdy z nas deklarował utrzymanie więzi, lecz nikt nie wiedział, gdzie zamieszka, jak swoje życie ułoży. Moi koledzy wybierali się do Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, Francji. Karciłem ich za to i nawoływałem do powrotu do Polski słowami: „Tam jesteście najbardziej potrzebni". Teraz oni piszą do mnie w listach: „I co, Boluś, zbierają się nad Polską bardzo ciemne chmury".

Wstyd mi się do tego przyznać, że dostawałem emeryturę w wysokości tysiąca, dwóch tysięcy, a ostatnio — niewiele ponad trzy tysiące złotych. Oni do czegoś doszli, ale ja za to mieszkam w Polsce.

Notował **STANISŁAW ZIELIŃSKI**
Reprodukcje GABOR LÖRINCZY

kontakty kontaktów

W związku z odnową w naszym kraju dużo mówiono o ochronie gruntów rolnych. Wydaje mi się, że to wielki blef. Przy ulicy Poznańskiej w Łomży, między wsią Kraska, a ul. Świerczewskiego powstaje jakaś dzika budowa. Dzika — bo każdy szanujący się inwestor wywiesza tablicę informacyjną: kto i co buduje. Budowa ta położona jest w środku gruntów rolnych, na których rosło zawsze piękne zboże. Nie pisałbym, gdyby nie można było budować w innym miejscu. A tu — w odległości około 700 metrów od miejsca budowy — jest około 30 hektarów nieużytków rolnych. Może diabły z „Kontaktów" zajęłyby się tą sprawą i pomogły myśleć ludziom od planowania budownictwa w naszym regionie.

Stały czytelnik „Kontaktów"
(nazwisko i adres do wiadomości redakcji)

✸

Zdecydowałam się napisać do Was po przeczytaniu listu czytelniczki, zaczynającego się od słów: „Jestem inwalidką II grupy, mam nowotwór. Ponieważ bieżący rok został przez ONZ ogłoszony Międzynarodowym Rokiem Inwalidy [...]". Swój list mogłabym zacząć tym samym. Tyle, że moja sprawa dotyczy zamiany mieszkania. Wspólnie z dziećmi w wieku 10 i 8 lat zajmuję nieskanalizowane mieszkanie usytuowane na I piętrze. Udręką dla mnie jest wynoszenie stamtąd nieczystości, gdyż oprócz zasadniczej choroby mam ograniczoną zdolność poruszania się z powodu niedrożności naczyń krwionośnych prawej nogi. Dźwiganie nieczystości i węgla nie hamuje, niestety, procesu choroby, przeciwnie — pogłębia go. Zwracałam się już do Urzędu Miejskiego w Łomży z prośbą o zamianę mieszkania, lecz jak dotąd nie otrzymałam żadnej wiążącej odpowiedzi. Rozumiem, że jest brak mieszkań, ale czy nie można zrozumieć i mnie. Przecież moje, składające się z pokoju i kuchni, mieszkanie dla innej, zdrowej rodziny byłoby odpowiednie. Mam 31 lat, chcę żyć i wychowywać swoje dzieci, a w takich warunkach na dłuższą metę nie wytrzymam.

ELŻBIETA CWALIŃSKA
Łomża

✸

Polemizowanie z „Polemikami" sprawia wrażenie paradoksu. Wychodzi jednak na to, że jest nieuniknione. Bo „Polemiki" rozgorzały tym razem w sprawie niebywałej wagi, a mianowicie... wykorzystania przez redakcję pewnego archiwalnego zdjęcia, jako ilustracji do artykułu Henryka Cieśluka pt. „Łomżanin, który dwukrotnie udzielał głosu Leninowi". Najpierw autor rzeczonego tekstu i inny jeszcze adwersarz, Antoni Opęchowski stwierdzili, że zamieszczono nieodpowiednie zdjęcie, na co redakcja odpowiedziała, że jednak było w porządku. I zdawałoby się, że można rzecz zakończyć, ale „Kontaktom" było mało (widać bardzo lubią przekonywać) i w numerze 15/81 jeszcze całą stronę poświęciły tej samej sprawie, drukując aż trzy listy, z których każdy dowodził, że zdjęcie przedstawia jednak dr. Mieczysława Czarneckiego. Czyżby naszemu pismu zabrakło poważnych i aktualnych tematów? Wierzę, że jednak nie i bardzo chciałabym się o tym przekonać w kolejnych numerach. Wszak czasy teraz — jak w starym chińskim przysłowiu — ciekawe, nawet bardzo.

TERESA SATANEK
Łomża

DOKOŃCZENIE ZE STR. 1

— Zlikwidowanie naszej gminy okazało się przede wszystkim prywatnym interesem pani Grądzkiej, ówczesnej przewodniczącej GRN-u i jednocześnie pierwszego sekretarza KG PZPR. Wiązało się z jej awansem do Łomży, do KW. Na nasze nieszczęście przejrzeliśmy tę grę po czasie.

Zdaniem Michała Lipińskiego, ówczesnego radnego GRN-u w Przytułach, sekretarz Grądzka rozegrała tę partię po mistrzowsku. Pierwsza sesja, na której stanęła sprawa likwidacji gminy, zakończyła się odrzuceniem wniosku. Były potem próby straszenia naganami partyjnymi, wyrzuceniem z pracy nieposłusznej urzędniczki, ale nikt z radnych nie uląkł się tego. Postanowiono zatem załatwić tę sprawę inaczej. Ni stąd, ni z owąd, w dwa dni po pierwszej odbyła się nadzwyczajna sesja GRN-u, o której, niestety, „nie zdążono" powiadomić wszystkich radnych. Aby jednak zapewnić kworum, pościągano niektórych prosto z pola, oderwano od zajęć gospodarskich. Nie musieli nawet iść, zostali podwiezieni służbową czarną wołgą.

— Na tej sesji — wspomina Michał Lipiński — Grądzka powiedziała, że gmina jest już faktycznie rozwiązana i że taka była decyzja odgórna. Jedyne, o czym możemy decydować, to do jakich gmin chcemy należeć. Wszystko to wydało mi się bardzo podejrzane. Zawsze, ilekroć sprawy nie były stawiane zbyt jasno, głosowałem przeciw. Tym razem też widziałem, że chłopi są zdezorientowani, że nie wiedzą, co jest grane. Mogłem tylko powiedzieć siedzącym obok mnie Jankowi Rozwadowskiemu i sołtysowi z Mroczek: „Podnoście ręce przeciw, bo nas wykołują". I wykołowali. Po sesji Grądzka, nie krępując się, wykonała telefon: „Sesję wygrałam". Tak właśnie przepadła nasza gmina. Z wielkim trudem udało się nam zachować punkt skupu GS-u i filie kilku innych instytucji. Ale brak gminy degraduje i to.

Ludzie są rozgoryczeni. To, co kiedyś załatwiali w przytulskiej gminie bez kłopotów, w Jedwabnem. Stawiskach, Radziłowie przychodzi im z ogromnymi trudnościami. Wszędzie traktuje się przytułaków jak piąte koło u wozu. Bo też — na dobrą sprawę — są dla tych gmin niepotrzebnym balastem.

Najważniejszym celem reformy z roku 1975 miało być podobno zmniejszenie administracji; w praktyce jednak okazało się, że jeżeli w tymże roku pracowało w administracji terenowej 90 tysięcy osób, po korektach (dane za rok 1977) było ich już 90 771. „Rocznik Polityczny i Gospodarczy" z roku 1978 podaje te dane w sąsiedztwie takiego oto komentarza: *„Przeprowadzono niezbędną korektę sieci gmin. Polegała ona na łączeniu gminy małej z silniejszą, lepiej wyposażoną w urządzenia do obsługi ludności, lub zniesieniu gminy i podziale jej terytorium między sąsiednie gminy zgodnie z kierunkiem ciążenia ludności poszczególnych sołectw i połączeniami komunikacyjnymi. Od 1 stycznia 1973 r. do końca 1977 r. zmniejszono liczbę gmin z 2365 do 2070, tj. o 295. W wyniku wprowadzonych zmian zwiększyła się przeciętna wielkość powierzchni gminy ze 124 km² w 1973 r. do 141,8 km² w 1977 r., a przeciętna liczba ludności wzrosła z 6520 do 7180 osób".*

W województwie łomżyńskim zlikwidowano 6 gmin. Nie w ilości jednak rzecz, a w zasadności decyzji. Dlaczego np. pozostawiono tak małe gminy, jak liczące 9 sołectw Kołaki, a rozwiązano stosunkowo prężną, skupiającą 31 wsi, gminę Przytuły? O tym, że nie wszystkie wsie w kraju są zadowolone z nowej przynależności administracyjnej, mówiło się już od dawna. Nigdy jednak głośno. A wiadomo nie od dziś, że sprawy, o których nie słychać, po prostu nie istnieją. Nie można też było do tej pory pójść na jednorazowe, małe „naprawy", gdyż, co również wiadomo, nie ma nic gorszego nad precedens. Reaktywuje się jedną gminę, zaraz upomni się o to samo druga, i tyle niedorzecznych decyzji na nie.

Przeżuwali więc przytułowscy chłopi ciężkie przekleństwa i czekali na lepsze czasy. Doczekali się. Nie wiedzą jeszcze wprawdzie, czy lepszych, na pewno jednak innych. Mogli wreszcie przypomnieć o swojej krzywdzie. Napisali do ministerstwa.

O tym, że przyjechała do Łomży komisja z ministerstwa, dowiedzieli się dostatecznie wcześnie, by zdążyć zebrać się i nawet okrzepnąć w ponad stuosobowym tłumie. Pani z Urzędu Wojewódzkiego, indagowana przez Michała Lipińskiego, zapewniła nawet, że samochód z przedstawicielkami władzy centralnej wyjechał koło godziny czternastej i powinien już dojeżdżać do Przytuł. Rzeczywiście, w pewnym momencie dostrzeżono zielonego fiata, który przemknął jednak, nie zatrzymując się nawet. Uwoził, co również zdążono zauważyć, naczelnika i sekretarza partii z gminy Jedwabne w otoczeniu dwu pań. Ponieważ chłopi nie zdawali sobie jeszcze sprawy z faktu, że mogą przestraszać samym swoim widokiem, rzucili się do samochodów w nadziei, że dogonią „uciekającą" władzę i przywiodą ją z powrotem, zaraz po załatwieniu przez nią tych innych, na pewno nie cierpiących zwłoki, spraw. Tymczasem władza zapadła się jak kamień w wodę. Nie było jej ani w Radziłowie, ani w Stawiskach. Co bardziej zagorzali zwolennicy rozmów z ministerstwem rozchodzili się do domów dopiero koło godziny osiemnastej.

W jakiś czas później okazało się, że panie z ministerstwa „zrejterowały" raczej programowo, gdyż i tak nie posiadały żadnych pełnomocnictw, a poza tym, zgodnie z pouczeniem swoich mocodawców, „wolały nie dolewać oliwy do ognia". Tymczasem dolały, i to aż nadto. Chłopi nie mogli darować władzom tego, że o ich sprawach rozmawiały bez nich. Nie dyskutowali już więcej nad tym, czy zostali skrzywdzeni. Postanowili zaprotestować. Jeszcze nie strajkiem, chociaż początkowo domagała się tego większość z nich.

W niedzielę, 26 kwietnia, gromadzą się ludzie w świetlicy OSP. Wszyscy chętni nie pomieszczą się, dlatego rodziny delegują przede wszystkim mężczyzn. Tylko część znajduje siedzące miejsca. Będą jednak stać, choćby kilka godzin, bo idzie o rzecz najważniejszą. Prezydium już w komplecie: dyrektor Henryk Rainko, reprezentujący Urząd Wojewódzki, naczelnik gminy Jedwabne, Janusz Kossewski, oraz dwóch przewodniczących GRN-u — Michał Lipiński ze Stawisk i Józef Górski z Jedwabnego (obaj byli radnymi dawnej gminy przytulskiej). Zebraniu przewodniczył Michał Lipiński. Przedstawia gości i natychmiast oddaje głos zebranym. Tematu zebrania nie trzeba przypominać ani zachęcać do dyskusji. Raczej hamować, uspokajać.

— Jeśli chodzi o nasze przytulskie gminę, co ona za cara już była i nikt nie pamięta, od kiedy istnieje, to została nam ukradziona, zabrana podstępnie. Było nas wtedy dużo radnych, ale przezradnych. Zrobiono nas na tumanów, a wszystkich rolników zostawiono jak gówno w trawie. Tych papierków, świstków, tyle teraz trzeba, a za każdym do gminy musisz pojechać. I to nie raz, a cztery razy za jednym. To nie ma tego, to tamtego. Rolnik wiecznie bałamuci w mieście zamiast produkować. Jak do tego dojdzie, że wy nam tej gminy nie oddacie, to my podatków płacić nie będziemy. Żaden. Mądrze czy głupio to wyłożyłem, nie wiem, ale tak my to czujemy.

— Z naszą gminą zrobili jak nigdyś z tymi kułakami. Rozkułaczyć, żeby byli dziadami. Z naszej gminy w 1955 zrobili pięć. Pobyło tak cztery lata. Nareszcie dawaj kumulować. Gmina liczyła 41 wsi, miała obszaru 15,5 tysięcy hektarów. Samowystarczalna była, a zrobili teraz dziadostwo. Takie Glinki mają do nas 5 kilometrów, a do Radziłowa 14. Ale im udogodnili! Oni z przyjemnością przyjadą do nas. U nas jest wszystek punkt. Ludzie przyjeżdżają na skup z ziemniakami, ze zbożem, z żywcem. Zaszedłby każdy od razu do gminy, załatwił w 10 minut. Nie! Jadź do Jedwabnego. A tam, wystarczy, nie ma jednej pani i cała gmina bezradna. Im łatwo powiedzieć: „Piechotą nie chodzisz, pekaes jeździ". Ale on darmo nie wozi.

— A żeby chociaż zawsze szedł.

— I ile czasu się marnuje. W mieście gadają: „Chłop śpi, a w polu mu samo rośnie". No, a jak nie śpi, to w gminie siedzi i czeka, że może ucapi urzędnika pod nogi. Żeby jeszcze utrudnić, to rozcholerzyli te gminę po całym Jedwabnem i biegaj teraz, człowieku, za urzędnikami, bo oni te papiery przenoszą, odwiedzają się... To na Starym Rynku, to na Nowym. Tej pani nie ma, bo wyszła. Gdzie wyszła? No, kto wie?

— Jako radny zapytałem na tej ostatniej sesji, dlaczego likwiduje się gminę. Grądzka odpowiedziała, że z powodu nadmiaru urzędników i dużych kosztów ich utrzymania. Ale, o dziwo, nikt jakoś z nich nie poszedł uprawiać ugorów, tylko do pracy w gminach Jedwabne, Radziłów i Stawiski. Kilku awansowało nawet do Łomży.

— Jak byłem rogowym, to gmina była bogata: po 200, 240 sztuk bydła na jednym spędzie. Teraz, choć kryzys, też żywca nie brakuje, tylko co to za robota, jeżeli tu sprzedaż, tam pieczątka; tu zaświadczą, tam wypłacą?

— Jakaś dziwna sprawa w Polsce. Otworzysz radio: „wszystko dla rolnika", włączysz telewizor: „zielone światło dla wsi", w gazetach — „frontem do rolnictwa". A jak nas traktują? Ministerstwo rozmawia tylko z władzami, wojewoda wysyła przedstawiciela.

— W gminie Jedwabne jest coś ze 60 sołectw. Niech tylko z każdego przyjdzie do naczelnika jeden rolnik, to kolejka stoi taka, że wysłuchanie wszystkich jest niemożliwością. Naczelnik człowiek niby operatywny, ale urzędników tam może za dużo, może dostali za małe kompetencje?! A w Przytułach mamy całe zaplecze: różne instytucje, budynek gminy jeszcze lepszy niż w Jedwabnem, bo w jednym kawałku, i urzędnicy swoi. Nam tu armia niepotrzebna, dziesięciu wystarczy. Dalej: tę gminę trzeba przywrócić i ze względów moralnych. Za takie nieładne załatwienie sprawy należy się satysfakcja, choćby i po latach. Jak przyjechała banda ludzi na rozbiórkę gminy, to mówili: wszystkie wasze wnioski będą załatwione, osobiście się Zientara interesuje. Ale jakoś wojewoda zapomniał o nas i powoli rozgrabiają nas nadal.

— Co myśmy stracili wraz z siedzibą gminy? Po pierwsze — szkołę, po drugie — kulturę, po trzecie — ośrodek zdrowia. Ten jeden lekarz ledwo zipie. Czy choć raz w tygodniu nie mógłby przyjechać dentysta? Nie, bo jak wypadła gmina, wykradli nam drogocenny sprzęt dentystyczny.

— Mieszkańcy wsi i gminy zostali oszukani dwukrotnie. Pierwszy raz obietnicą pięknej zbiorczej szkoły gminnej na 24 oddziały, która wprawdzie została wybudowana, ale w Małym Płocku, i po raz drugi, gdy zlikwidowano gminę. Sprawa szkoły jest o tyle istotna, że to okolica wyjątkowa, w której ciągle rośnie liczba uczniów. Budynki w Przytułach i Obrytkach są bardzo szczupłe i w zasadzie nie nadają się już na organizowanie nauczania. Malutkie salki mieszczą maksymalnie po 16 uczniów. Na ogólną liczbę 361 uczniów — 291 dojeżdża. Dowozi się ich od szóstej rano do piętnastej trzydzieści po południu. Jesteśmy od roku 1973 jedną z nielicznych szkół o dowożeniu śródlekcyjnym. Koszty są ogromne: milion dwieście tysięcy złotych rocznie. A przecież trzeba do nich wliczyć straty dziecięcego zdrowia. Wiele dzieci, żeby zdążyć na pierwszą przyczepę o 6.20, musi wstawać tuż po piątej. Perspektywa rysuje się jeszcze gorzej. Nasza szkoła nie pomieści więcej uczniów. Nie zmieści ich też szkoła gminna w Jedwabnem, bo już pęka w szwach. Tylko reaktywowanie gminy stworzyłoby możliwości wybudowania szkoły z prawdziwego zdarzenia.

— Wniosek o przywrócenie gminy Przytuły jest tym słuszniejszy, że stanowiłaby ona szansę także dla wsi okolicznych. Wystarczy wziąć do ręki mapę, żeby zobaczyć, że wszystkie drogi schodzą się w Przytułach.

Dziś wieś nie jest taka głupia. Przedtem też tylko poznokciami klaskała. Ale państwo za dużo chytrzy z nami. I z tą naszą gminą. Wojewoda i Ministerstwo tak sobie pewno myślą: „Zachciało się chłopom w Przytułach odnowy. Pokrzyczą o gminę, pokrzyczą, się wyszumią i uspokoją". Ale my od swego nie odstąpimy. Za wiele nam tej krzywdy i niewygody.

— Przyszli tu dzisiaj nie tylko ludzie z Przytuł, ale i okolicy; przedstawiciele 31 wiosek. Tylko przedstawiciele, żeby się władze nie przestraszyły, że tyle chłopa i że może od razu jakiś strajk okupacyjny się szykuje. Ale jak trzeba będzie, to przyjdziemy całymi wioskami. Niech nam powie delegat wojewódzki, czy my może mamy się udać gdzieś z jakimś marszem protestacyjnym? Jakie tu trzeba akcje organizować, żeby tam, na górze, zrozumieli, że my nie żartujemy? My nie zebraliśmy się po to, żeby pogadać, ale by domagać się sprawiedliwości. Takie postępowanie administracji, jak dotychczas, tylko odstrasza młodych od zostawiania na wsi. Mówi jeden do drugiego: „Na co ja mam zdrowe głowe w chore łóżko kłaść?" — i idzie sobie precz do miasta. Niech wreszcie będzie urząd dla rolnika, a nie rolnik dla urzędu. Ten nasz naczelnik przyjmuje dwa czy trzy razy w tygodniu. Słucha, notuje, notuje bez przerwy w notesach i w każdą środę kupuje nowy. I co on może z tego załatwić?

— A czy to nasze dzisiejsze zebranie coś pomoże, załatwi? Pan dyrektor posłucha, pojedzie, i nie wiadomo co jeszcze powie wojewodzie. Proponuję wspólnie opracować oficjalny komunikat, zaproponować, do którego dnia urzędy mają wypowiedzieć się w naszej sprawie, no i powołać komisję do prowadzenia dalszych rozmów. Żeby nas znowu nie wyprowadzono w pole.

— Zanim przejdziemy do tego punktu, może poprosilibyśmy wcześniej pana dyrektora Rainkę o poinformowanie nas, jak wyglądały rozmowy przedstawicielek ministerstwa z wojewodą, jaki był rezultat tych rozmów i jakie stanowisko zajął wojewoda. Dlaczego

posław

panie z ministerstwa, mimo zapowiedzianej wizyty w Przytułach, przejechały przez wieś nie zatrzymując się choćby na chwilę?

— Pragnę w imieniu wojewody Redlińskiego przeprosić państwa za to, że nie mógł stawić się sam, ale wcześniej już obiecał być na sesji w Sokołach. Jestem jego przedstawicielem, proszę jednak nie oczekiwać po moim wystąpieniu rozstrzygających oświadczeń czy deklaracji. Chcę tylko przedstawić notatkę, która jest wynikiem badań przeprowadzonych przez dwie przedstawicielki Ministerstwa Administracji w dniach 13 i 14 kwietnia br.: *„Konsultacja została zorganizowana w związku z wnioskiem, jaki został skierowany do Ministerstwa Administracji, Gospodarki Terenowej i Ochrony Środowiska przez ludność byłej gminy Przytuły. W 1976 r. gmina została zniesiona i włączona w przeważającej części do gminy Jedwabne oraz w części do gmin Stawiski i Radziłów. Zmiana ta, zdaniem ludności, w sposób istotny utrudniła jej życie, a przede wszystkim rolnikom, którzy z wielu wiosek mają duże odległości do obecnego urzędu gminy. Pogarsza sprawę nieregularność kursowania komunikacji PKS, szczególnie zimą. W oparciu o informację uczestników konsultacji: naczelnika gminy, przewodniczącego GRN i sekretarza GK PZPR w Jedwabnym, oraz po dokonaniu wizji lokalnej ustalono, że na terenie wsi Przytuły funkcjonują następujące placówki obsługi ludności: filia Gminnej Spółdzielni, która prowadzi punkt skupu żywca i zboża, magazyn składowy nawozów i środków ochrony roślin, magazyn pasz treściwych, magazyn materiałów budowlanych. We wsi Przytuły funkcjonuje ogólny sklep spożywczo-przemysłowy oraz bar. W pozostałych wsiach funkcjonują punkty sprzedaży pomocniczej. Ponadto prowadzony jest zakład garbarski zatrudniający dwanaście osób. Filia Banku Spółdzielczego prowadzi całkowitą obsługę ludności w zakresie czynności podstawowych. Punkt weterynaryjny, ośmioklasowa szkoła zbiorcza, ośrodek zdrowia z gabinetem dentystycznym, klub i świetlica. Na terenie wsi Przytuły działa centrala automatyczna, która posiada połączenie ze wszystkimi wsiami. Połączenie drogowe między wsiami byłej gminy Przytuły a siedzibą gminy należy uznać za dobre. Częstotliwość kursowania PKS wg rozkładu jazdy jest wystarczająca i zapewnia dogodne połączenie byłej gminy Przytuły i gminy Jedwabne. Jedynie ze względu na niesprawność taboru występują trudności w tym zakresie. Zespół wsi byłej gminy Przytuły, mimo że nie stanowi odrębnej jednostki administracyjnej, to zdaniem władz wojewódzkich*

posiada infrastrukturę właściwą dla samodzielnej jednostki gminnej. Reaktywowanie gminy Przytuły spowodowałoby konieczność przyznania ze szczebla centralnego 10 etatów administracyjnych z miesięcznym funduszem płac około 50 tysięcy złotych i przekazania jednocześnie 10 etatów z gminy Jedwabne, w tym 4 dla gminnej służby rolnej. Utworzenie Gminnej Spółdzielni stworzyłoby konieczność przeznaczenia dodatkowo około 15 etatów, w tym 8 księgowych, 3 członków zarządu, 5 instruktorów. Zabezpieczenie mieszkań dla pracowników istniałoby poprzez wynajm prywatnego budynku oraz poprzez wynajęcie kwater prywatnych. Zdaniem naczelnika UMiG w Jedwabnym oraz sekretarza KMG PZPR i przewodniczącego Rady Narodowej Miasta i Gminy Jedwabne utworzenie gminy Przytuły byłoby celowe ze względu na konieczność zmniejszenia gminy Jedwabne, która należy do jednej z większych. Stanowisko Wojewody Łomżyńskiego, Jerzego Zientary, wicewojewody Wacława Redlińskiego oraz pozostałych osób repre-

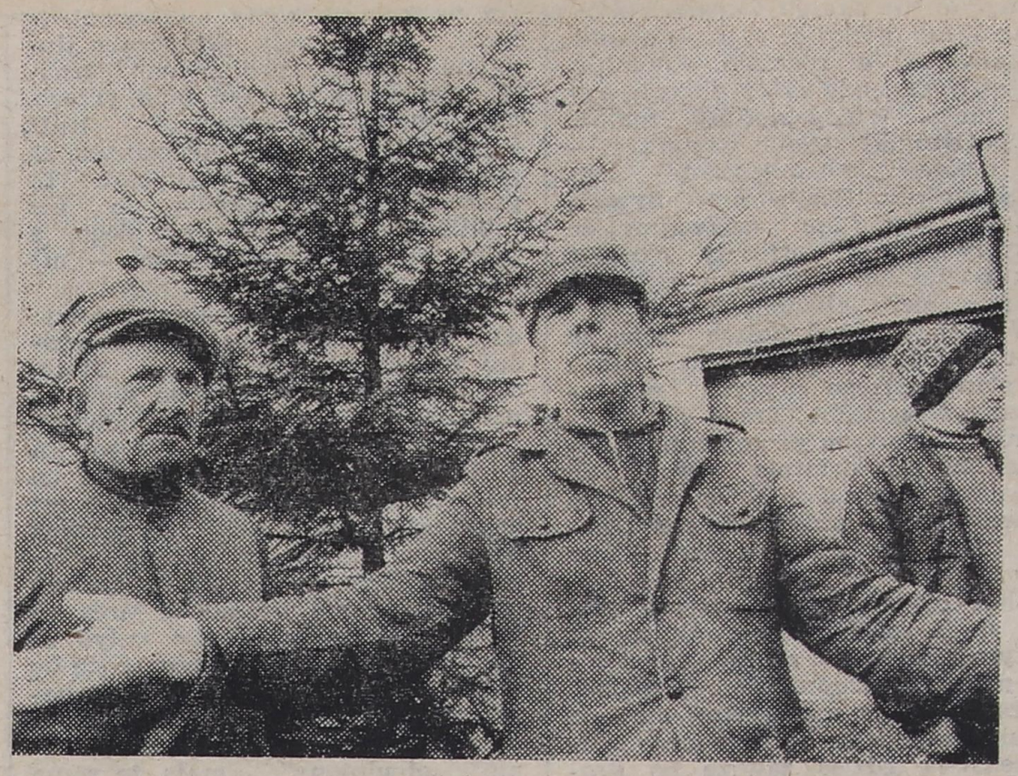

zentujących władze województwa co do przywrócenia gminy jest sceptyczne. Utworzenie urzędu gminy, biorąc pod uwagę obecny stan zagospodarowania jednostki, nie wpłynęłby na poprawę obsługi ludności. Również dokonanie tej zmiany wpłynęłoby na znaczne zwiększenie nakładów na administrację. Utworzenie gminy Przytuły byłoby precedensem do realizacji innych wniosków z tego zakresu. Jednocześnie wg informacji wicewojewody Redlińskiego sprawa przywrócenia gminy Przytuły nie była dotychczas znana Urzędowi Wojewódzkiemu". Mamy informację z naszej centrali — mówi dalej Henryk Rainko — że Przytuły nie są odosobnionym przykładem w kraju. Ministerstwo Administracji rozpatruje kilkadziesiąt takich wniosków. Według przedstawicieli Ministerstwa — istnieją o wiele drastyczniejsze sytuacje, gdzie zasadność odbudowy gmin jest wręcz niepodważalna. Ministerstwo otrzymało od rządu dyspozycję zbadania wszystkich odwołań i przedstawienia uogólnionych wniosków. Rząd ustosunkuje się prawdopodobnie generalnie i przyjmie określoną tendencję. Dotychczas preferowało się silne jednostki stopnia podstawowego. Być może jednak te liczne wnioski z terenu zmienią, nawet diametralnie, punkt widzenia rządu. Reaktywowanie gminy to nie tylko koszty wypłat dla urzędników, lecz cały szereg pochodnych, które obciążałyby budżet państwa. Dlatego, pamiętając o tym, że w Przytułach pozostała cała wcześniejsza infrastruktura, a więc ośrodek zdrowia, punkty GS-u, SKR-u itd., czy warto walczyć jedynie o reaktywowanie administracji, szczególnie, że jakoś działa tu i transport i łączność? Nie zawsze też trwać będzie kryzys gospodarczy, który determinuje wasze niezadowolenie. To, że jest źle, wynika z ogólnej sytuacji w kraju, a nie bezpośrednio ze zlikwidowania waszej gminy. Z naszego jednak punktu widzenia nie zachodzi konieczność odbudowania gminy Przytuły.

Wystąpienie dyrektora Rainki budzi bardzo wiele wątpliwości i zastrzeżeń.

— Administracja ma służyć robotnikom, chłopom i rzemieślnikom, którzy wypracowują środki na jej utrzymanie. W związku z tym powinna ona pracować tak, aby ludziom było z nią wygodnie, a nie odwrotnie. Fakt, że gminy powinny być silnymi organizmami, tylko czy silne znaczy — wielkie? Poza tym jak z postulatem dużych gmin łączyć hasło „urząd bliżej obywatela"?

Nad pytaniami i zwątpieniami bierze jednak górę zdenerwowanie. Kilka osób zaczyna mówić jednocześnie. Nad wszystkimi dominuje jednak głos przytulskiego sołtysa.

— Jak pan przyjechał tu gadać nam tak ładnie, to my pojedziem wszystkie do wojewody i skończy się to bujanie. A jak nie, to do Warszawy. Bo my możemy pisać i opisywać, a chłopa i tak każdy ma w dupie. Jak może powstać gmina, jeżeli ten pan przyjechał nas załatwić? Wojewoda, psia mać, go przysłał, żeby nam tu te papiery przeczytał?

— Że pan mówi ładnie, gładko, ja wiem: pan był przygotowany i ma na to nauki. My mówimy sękato, prosto. Ale tę gładką gadkę rozumiemy, Wy chcecie znów załatwiać bez nas?

— My, proszę pana, przywiązujemy wagę do naszej polskiej tradycji. Jak u nas zapytać trzyletniego szkraba: „Z jakiejś jesteś gminy?" — odpowiada: „Z Przytuł". Jedwabne brzmi nam obco. Niech pan posłucha: Przytuły. Co panu mówi słowo „Przytuły"? Kto tu się raz przytulił, to nie oderwie. I nauczyciel, i ksiądz. Jedna była pani Judasz, co sprzedała naszą gminę.

Dyrektor Rainko stara się wytłumaczyć i siebie, i wojewodę: — Jest mi przykro, że mój stosunek, określający tendencje, został odczytany jako pozycja do waszej inicjatywy. Ja tylko mówiłem, że decyzja taka nie jest możliwa na szczeblu województwa. Dlatego powinniście mi państwo wybaczyć ten mój sceptycyzm wypowiedzi. Przypuszczam, że gdyby, zamiast Rainki, był tutaj wojewoda, również nie mógłby państwu powiedzieć więcej, niż ja powiedziałem. W każdym razie mnie osobiście przekonaliście państwo do potrzeby odtworzenia gminy. Tym bardziej, że z ogromnym zapałem i konsekwencją podchodzicie do tego. Zobowiązuję się raz jeszcze obiektywnie przekazać wojewodzie podnoszone tutaj sprawy.

— Niech pan tak przekazuje, żebyśmy drugi raz nie musieli się spotkać na tej sali, tylko od razu mogli iść do gospody!

Głos zabiera naczelnik gminy Jedwabne, który ponownie potwierdza swoją pozytywną opinię, co do odbudowy gminy w Przytułach. Jest to — według niego — przede wszystkim kwestia formalnego przesunięcia tych urzędników, którzy dojeżdżają z Przytuł do pracy w sąsiednich gminach. Obecnie Urząd w Jedwabnem zatrudnia 63 osoby. Przy sprawnej organizacji pracy można by zmniejszyć tę ilość o połowę. Przesunięcia personalne nie spowodują dodatkowych nakładów finansowych. Nie ma bowiem w Przytułach problemu ani z mieszkaniami, ani z lokalem dla gminy.

Zebranych nie przeraża trud zadania. Ministerstwo, Rada Państwa? Wszędzie można dotrzeć. Najpierw jednak trzeba się zorganizować. Wszyscy akceptują powstanie Komitetu Odbudowy Gminy Przytuły. Na jego przewodniczącego wybierają Michała Lipińskiego, a na zastępcę — Józefa Górskiego. Komitet liczy 11 osób. Ustalają, że dyrektor Rainko zawiezie wojewodzie protokół z zebrania, a jego odpis trafi do Ministerstwa Administracji, Gospodarki Terenowej i Ochrony Środowiska.

Zanim jednak władze wojewódzkie zdążą rozpatrzyć żądania przytulan, inspiratorom walki o własną gminę przyglądają się przedstawiciele porządku publicznego, którzy kilka dni po zebraniu zjechali do Przytuł.

DANUTA I ALEKSANDER WRONISZEWSCY
Fot. GABOR LÖRINCZY

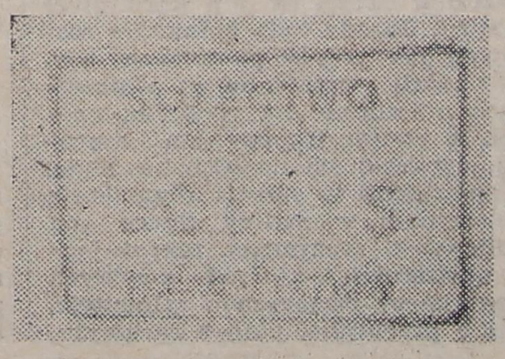

spięcia

Taką już mamy genetyczną cechę narodową, że lubimy sobie pogadać. Niestraszne nam kryzysy czy inne miecze Damoklesowe. Kiedy jest coś pilnego do zrobienia, rozsądek zasypia, a nie cierpiące zwłoki zadania — miast do realizacji — trafiają na małe lub duże forum dyskusyjne. W efekcie niedomagania naszego życia społecznego i gospodarczego, wymagające natychmiastowej kuracji, pogrążają się w kurzu słów i grzęzawisku formalnych ustaleń. Jeśli z powszechnego nastroju sejmikowania wyrośnie nam mądre i praktyczne pokolenie, wówczas niechybnie rozdział historii dotyczący naszej epoki będzie się zaczynał od słów: „Kiedy nad Bałtykiem szumiało polskie morze Jałowych Dywagacji, wciąż zasilane potokami pustych słów..."

★

Sprytny mławski artysta-podrabiacz „znalazł się" ideologicznie w swojej trudnej sytuacji; powiedział mianowicie, że produkowane przez niego tysiączłotówki miały służyć wykupieniu Mławy spod panowania Ciechanowa. Nie byłoby trudno znaleźć w naszym województwie miast cierpiących „pod jarzmem" Łomży. Miałyby nawet czym kramarzyć (np. bimbrem, węgorzami), tylko już nie bardzo wiadomo — z kim, ponieważ nie do końca jest jasność w kwestii, kto się odnowił, a kto jeszcze nie.

★

Na koncie rekordów łomżyńskich odnotowujemy sukces w dziedzinie szybkości: oto w dniu 17 IV br. pociąg relacji Warszawa—Łomża pokonał tę trasę z szybkością 25 kilometrów na godzinę i pojawił się na stacji docelowej z niemal dwugodzinnym opóźnieniem. Gratulujemy!

★

W kiosku spożywczym obok gminnej szkoły zbiorczej w Rutkach dzieci mogą się zaopatrywać wyłącznie w bułki i oranżadę. Uważamy, że takie punkty sprzedaży powinny być traktowane jako miejsca zesłań dla rozbisurmanionych sobiepaństwem łomżyńskich ekspedientek. Na początek proponujemy skierować tam panią z inicjałami M.Z. ze sklepu nr 1 przy pl. Niepodległości. Jeśli się w kiosku poduczy kultury, wówczas każdy, nie tylko redaktor — zgodnie z jej życzeniem — wyrazi swój szacunek ucałowaniem w rękę.

✸

Szczególnej pieczy panów w białych czapkach, a uwadze przechodniów, polecamy czerwonego moskwicza z nr. LOM 1659. Prowadzi go bowiem człowiek, który ukończył kurs na wyspie wyłącznie z ruchem okrężnym, gdzie ponadto nie było w ogóle żadnego dwuśladowego zawalidrogi. Słowem: jeździ teraz, jak chce, nie respektuje ani znaków, ani przepisów. Symptom szczególny: pasażerów najchętniej przyjmuje na skrzyżowaniach.

✸

Pracownik zambrowskiego CPN-u nie ulękł się dwu dużych pieczęci i zamaszystego podpisu na upoważnieniu uprawniającym kierowcę do zatankowania paliwa w kanister, lecz jego okazicielowi — w dowód odwagi — polecił podtarcie papierem czterech liter. Doceniamy śmiałość — bolejemy nad marnotrawstwem makulatury i strata czasu trzech osób. Bo jeśli już coś trzeba zmarnować, to po cóż okrężną drogą. Sytuacja sugeruje rozesłanie do wszystkich autorów tego typu upoważnień — instrukcję: „Nie pisz. Dbaj o higienę. Podcieraj czystym".

✸

Trzy razy zbierali się delegaci kółek rolniczych w Kołakach Kościelnych, aby utworzyć Gminny Związek Kółek i Organizacji Rolniczych. Za każdym razem zachowali żelazną konsekwencję: 1/3 zebranych głosowała przeciwko, 2/3 wstrzymało się od głosu. Następnej konfrontacji postaw poświęcą niebawem kolejne spotkanie.

NIETAKTY

chłód wstydu

Felieton ma być o wstydzie. „Mały słownik języka polskiego" pod red. Stanisława Skorupki i Haliny Auderskiej podaje, że wstyd jest bądź uczuciem powstrzymującym przed czymś poczytywanym za niewłaściwe, przynoszącym złą opinię, niesławę, hańbę, bądź też przykrym uczuciem, doznawanym przy ujawnieniu naszego złego postępku. A dalej: wstyd jest za kogo, za co.

No właśnie: za kogo, za co? Różnie z tym bywa. Zazwyczaj niewiele nam trzeba, byśmy poczuli się zawstydzeni; drobna gafa, nietakt, ujawniona niewiedza — wystarczają. Ale przecież nie tylko o drobiazgi chodzi, bo i o sprawy większe, rzec można — poważne. Jakoś tak się dziwnie dzieje, że częściej płoniemy ze wstydu na skutek własnych przewinień lub potknięć w działaniu, niepowodzeń w rodzinie, otoczeniu, niż wówczas, gdy rzecz dotyczy kogoś innego. Wtedy wolimy znaleźć się po drugiej stronie barierki — być niejako „konsumentami" czyjegoś wstydu. Oczywiście, bywają wyjątki, lecz nie udawajmy, że wszyscy skłonni jesteśmy „cierpieć (jak poeta) za miliony" i wstydzić się za grzechy bliźnich.

W posierpniowej Polsce winę za doprowadzenie gospodarki kraju do stanu ostrego kryzysu przypisujemy wszystkim. Trend do rozliczania rozmaitych prominentów, decydentów itd., ostatnio wprawdzie przycichł, ale zaistniał w rejestrze niewątpliwych faktów. Po cichu nadal szukamy winnych tego stanu rzeczy.

Choć pojęcia winy i wstydu łączą się z sobą nierozerwalnie, to w tym przypadku z przyjęciem winy na siebie trudno się pogodzić. Wszak nigdy nie mieliśmy nic do powiedzenia, głos bezimiennego społeczeństwa gdzieś zawsze po drodze utykał, a jego gwałtowne reakcje na kolejne błędy kierownictwa, ludzi, „góry", były skutecznie tłumione. Wszak słowo „wina" oznacza popełniony zły czyn, błąd, grzech, przestępstwo, przewinienie bądź czyjąś moralną odpowiedzialność za popełniony zły czyn. Zły czyn? To przecież nas nie dotyczy, bo nie robiliśmy w tej materii nic złego, a jeżeli już, to z konieczności — nie było innego wyjścia.

A jednak dziwnie analogiczna wydaje się tu historyjka z życia pewnej znanej mi rodziny, w której ojciec wciąż obarczał żonę winą za niewłaściwe wychowanie synów-urwisów. Ona wtedy pytała go: „A gdzie ty byłeś? Za granicą?" I na to pytanie czupurny ojczulek nie znajdował odpowiedzi. Bo prawda była taka, że za granicę, ani w ogóle nigdzie, dłużej niż na tydzień bez rodziny nie wyjeżdżał. Mnie się w takich chwilach robiło wstyd za nich, że nie potrafią przyznać się do wspólnej winy, choć może tak naprawdę nie oni zawinili. Ale przecież nie bez powodu słowa „wina", winić", „obwiniony", mają tę samą etymologię, co „powinowaty", choć znaczą co innego. „Słownik etymologiczny" Aleksandra Brücknera podaje, że „powinowaty" znaczy: *„niby należący do »winy«, bo za winnego cały ród odpowiadał i kary ponosił"*. Cały ród!

Nie dziwmy się więc poecie, który wołał: *„Wieczna sromota i nienagrodzona szkoda Polaku!"*, gdy *„pohaniec sprosny"* pustoczył ziemię podolską. Słowo „wstyd" zastąpiło dawny „srom", a — jak podaje „Słownik" Brücknera — wykształciło się od pnia „stud", czyli „zimno", bo tak się składa, że uczucie to bardziej nasziębi niż grzeje.

Nie dziwmy się więc również, gdy któregoś dnia, wcale nie za górami, za lasami, lecz w tasiemcowej kolejce za mięsem, zobaczymy obok siebie starego, pochylonego pod brzemieniem czasu i pracy człowieka, i poczujemy wstyd. Wstyd, że on — taki wiekowy, taki spracowany, w jesieni swojego życia stoi w kolejce, a w wyciągniętej, drżącej i pokrytej zmarszczkami dłoni trzyma, dygocącą jak listek osiki na wietrze, kartkę na mięso.

WIESŁAWA T. ŻOCHOWSKA

Rysunek Andrzeja Podulki

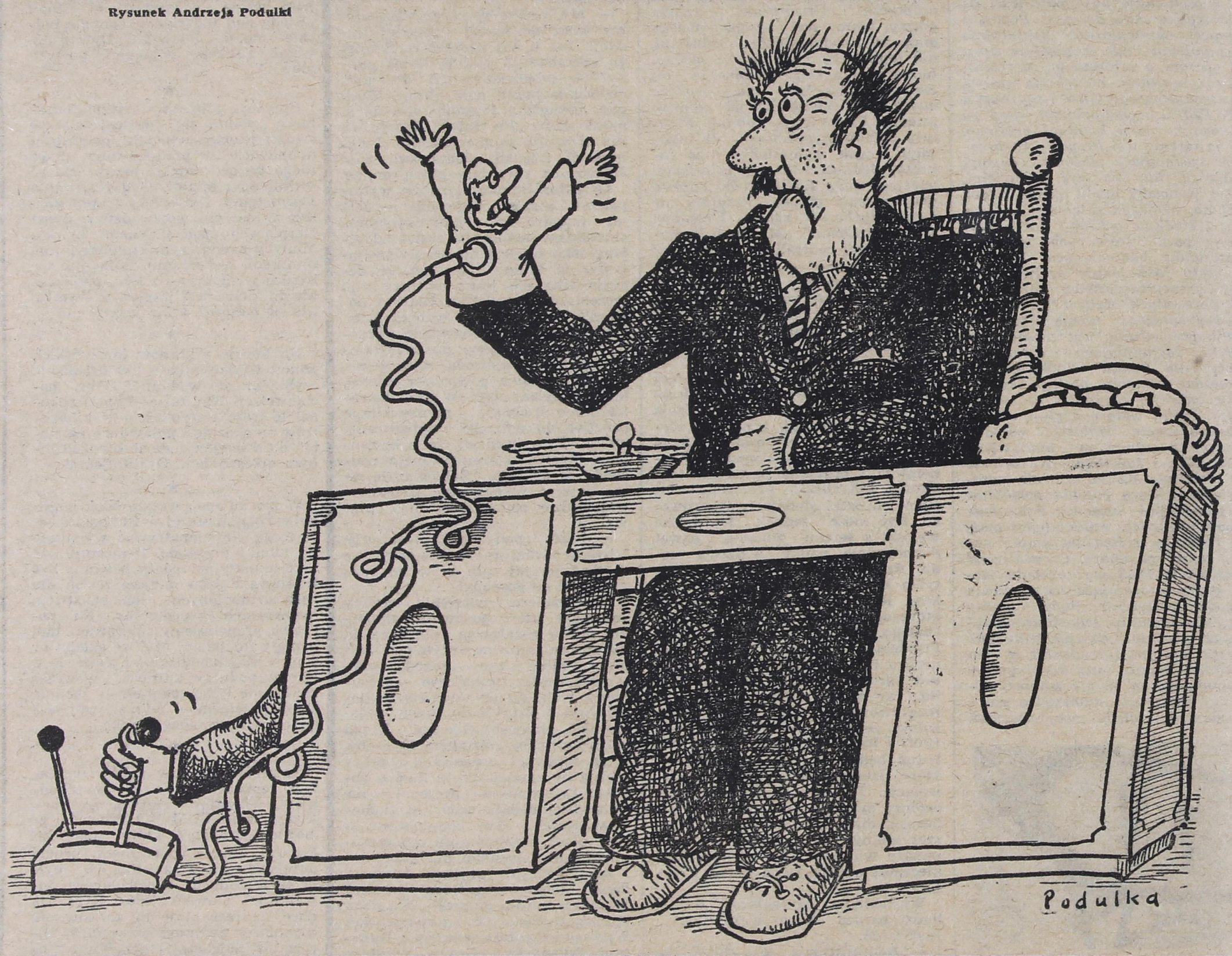

reflekSje

NA PIĘCIOLINII

edycja nr 2

Po wielu latach muzycznej posuchy — mam na myśli muzykę rozrywkową — nadeszły wreszcie czasy ożywienia. Ale niech nikogo to ożywienie nie zwiedzie; jest pozorne, jak wiele innych rzeczy, które do tej pory świadczyły o masowym rozwoju kultury w Polsce. Mam tu na myśli osławiony takimi zespołami, jak Combi, Maanam, Kasa Chorych czy Krzak, nurt zwany „Muzyka Młodej Generacji", o którym — notabene — już kilka razy w tym miejscu pisałem. Owa euforia wygląda raczej na kolejny zabieg bystrych menagerów niż przeciętnie fachową ocenę tego, co dzieje się ostatnio na krajowych estradach. Młodzież wprawdzie wpada w trans na koncertach wspomnianych grup, interweniować muszą siły porządkowe, nierzadko w ruch idzie gaz łzawiący, a czasami trzeba przerwać występy, ale to tylko efekt temperamentu. Nie o tym jednak chciałem w tym momencie. Otóż cała ta zabawa, szeroko reklamowana ostatnio w środkach masowego przekazu — na czele z telewizją — do złudzenia przypomina to, co działo się przed dwudziestu z górą laty, kiedy deskami scenicznymi zawładnął big-beat. To bardzo ogólne pojęcie określało wówczas każdy rodzaj muzyki młodzieżowej wykonywanej przez Niemena, Karin Stanek, Czerwono-Czarnych, nawet Skaldów.

Totalna pustota, jaka wytworzyła się po ich zamilknięciu, jest właściwie zasługą całej grupy publicystów i menagerów, którzy lansując określony typ muzyki, lansowali jednocześnie określony typ karierowej drabiny. Zasada była jedna: na rosnących jak grzyby po deszczu tzw. gitariadach wyłaniano co zdolniejszych amatorów, by po kilku próbach z paraprofesjonalnym zespołem wypuścić ich na głęboką wodę, co najczęściej w efekcie równało się wpuszczeniu w maliny. Spece od publicystyki muzycznej, rekrutujący się najczęściej spośród zwykłych dziennikarzy piszących o rolnictwie, bądź o przemyśle, piali z zachwytu, że w krótkim czasie sprzedaliśmy ileś tam tysięcy gitar, w tym również elektrycznych. Model Kopciuszka, przeniesiony na estradowy grunt, zyskał sobie natychmiast akceptację młodzieży, znudzonej nieco nauką i monotonią dnia codziennego. Ów mit po prostu wiele obiecywał — pieniądze, popularność, nagrania, płyty — nic w zamian nie żądając. Nikt bowiem od kandydatki na drugą Karin Stanek nie wymagał najprostszej wiedzy muzycznej, co najwyżej ładnej buzi i zgrabnego tyłeczka. Nikt nie wymagał od gitarzysty znajomości nut, tylko dobrych sprzężeń i dość silnego wzmacniacza, zdolnego zagłuszyć fałsze, wzbudzić entuzjazm widowni, nabić kiesę menagerom.

Nic więc dziwnego, że po pewnym czasie padło słuszne podejrzenie o istnienie u nas „pokolenia głuchych". Naturalnie sporo winy ponosi tutaj system nauczania muzyki w szkołach, ale mit estradowego Kopciuszka zrobił więcej. Młodzież zaczęła masowo opuszczać ogniska i szkoły muzyczne, które przygotowywały do zawodu muzyka, żądano przystosowania programu nauczania do szału zwanego big-beatem itd. Czas jednak biegnie szybko, kolejne kariery gasły tak samo; mit nadal trwał, ale powstawała luka w kształceniu, którego tak potrzebuje obecnie u wykonawców — coraz bardziej świadoma rzeczy — publiczność.

Ktoś kiedyś powiedział, iż nieprawdą jest, jakoby historia lubiła się powtarzać. Być może, ale nie zawsze. Bo oto znowu do akcji przystąpiło grono menagerów — wśród nich są również nestorzy — które lansuje unowocześnioną wersję tamtego działania. Spełnione są zresztą prawie wszystkie warunki z tamtych lat. Jest rozhisteryzowana publiczność z powiewającymi marynarkami, jest grono młodych amatorów, pragnących za wszelką cenę odczuć na swojej skórze popularność, jest gotowy przemysł rozrywkowy i ta bezustanna ludzka tęsknota za łatwo osiągalnym sukcesem. Za parę lat — jeśli jeszcze dodamy do tego rosnącą moc wzmacniaczy gitarowych — przyjdzie nam mówić o „pokoleniu głuchych — edycji nr 2".

JAN JANUSZEK

„Ława" krnąbrnych

BARBARA CIRUK
TOMASZ PIOTROWSKI

REPORTER: Suwalscy nauczyciele są zastraszeni. Ale nie wszyscy. Stu dziesięciu złożyło czytelne podpisy pod listem protestacyjnym przeciwko dochodzeniu, które prowadzi Prokuratura Wojewódzka. Dotyczy ono trzech uczniów suwalskich szkół, którzy wydają gazetkę „Ława". Uczniowskie pisemko bulwersuje zwolenników postaw zachowawczych. Naczelnika Wydziału Postępowania Karnego Prokuratury Wojewódzkiej w Suwałkach, Tadeusza Biernata, zapytaliśmy, czy jego urząd nie ma ważniejszych spraw niż prowadzenie śledztwa przeciwko trzem uczniom wydającym gazetkę.

TADEUSZ BIERNAT: Ma ważniejsze sprawy, przykładowo, zabójstwa, afery gospodarcze, poważne sprawy kryminalne. No, ale to też jest sprawa; może z punktu widzenia charakteru i ciężaru gatunkowego — niewielka, ale mająca duży rozgłos, zwłaszcza w Suwałkach i województwie, a z tego, co wiemy, już nabiera rozgłosu w Polsce. I między innymi dlatego śledztwo zostało przejęte przez Prokuraturę Wojewódzką, żeby pokazać, że prowadzone jest z pełnym obiektywizmem, zachowaniem wszystkich zasad praworządności.

REPORTER: Z ufnością odnosimy się do słów pana prokuratora. Ale oddajmy głos jednemu z redaktorów „Ławy", Andrzejowi Tylendzie.

ANDRZEJ TYLENDA: Pismo powstało z inicjatywy młodzieży suwalskiej. Od dawna istniało zapotrzebowanie na tego rodzaju działalność. Mimo że istniały inne pisma wewnątrzszkolne, takie jak „Waria" w Technikum Budowlanym, jak „Licealista" w I LO, jak „Zryw", były to rzeczy krótkotrwałe. W każdej szkole znalazło się dwóch, trzech zapaleńców i oni coś tam animowali, ten ruch młodzieżowy, ale nie starczało zapału na długo. Postanowiliśmy, że jeśli się zbierze tych zapaleńców ze wszystkich szkół do kupy i jeśli się stworzy pismo, które by miało szerszy zasięg, powiedzmy — miejski, to wtedy jakaś działalność byłaby z tego. Zrozumieliśmy, że wiele spraw dotyczących bezpośrednio młodzieży odbywa się za naszymi plecami. Na przykład sprawa porozumienia ministra z uczniami liceów gdańskich: przecież treść tego porozumienia miała dotrzeć do uczniów wszystkich szkół w całej Polsce. Niestety, tak się nie stało. Kiedy zjawiliśmy się u pani Hodunaj, dyrektorki II LO, po zabraniu przez nią stu egzemplarzy pisma, z prośbą o jego zwrot, pani Hodunaj powiedziała, że w porozumieniu ministra z młodzieżą nie ma mowy o pismach międzyszkolnych, tylko o pismach wewnątrzszkolnych. Ale przecież my o tym nie wiedzieliśmy! W ogóle nie wiemy, co wolno, a czego nie wolno młodzieży. To uzasadnia konieczność istnienia takiego pisma, jak „Ława", które by informowało, które zaspokoiłoby głód informacji. Ale jest również mnóstwo innych spraw, które się działy poza naszymi plecami, np. tasowanie nauczycieli: wyrzucenie pani Jaroszewicz ze szkoły, nauczycielki z 24-letnim stażem pracy, bez żadnego uzasadnienia; przeniesienie pani Szymkowskiej z liceum dziennego na wieczorówkę bez zgody młodzieży. A przecież to jest najlepszy pedagog w Suwałkach!

REPORTER: Ale obie te panie wróciły z powrotem na swoje poprzednie miejsca.

ANDRZEJ TYLENDA: Tak, dzięki interwencji młodzieży, dzięki naszym pismom, wysłanym do władz: do ministerstwa, do ZNP. Zrozumieliśmy, że jesteśmy właściwie bezbronni, gdy narusza się podstawowe zasady etyki uczniowskiej, nauczycielskiej. Stąd idea „Ławy". „Ława" miała także służyć konfrontacji poglądów młodzieży. Chcieliśmy odciągnąć młodzież od tej kultury dyskotekowej — przecież tu się nic nie działo, straszny marazm duchowy — od budki z piwem. Chcieliśmy, żeby młodzież mogła w końcu wyrażać swoje poglądy i aby w wyniku ścierania się tych poglądów zaistniała jakaś obiektywna prawda.

REPORTER: W istnienie obiektywnej prawdy raczej nie wierzymy, ale ujmująca jest ufność, z jaką o niej mówi Andrzej Tylenda, niespełna dziewiętnastolatek.

REPORTERKA: Zajrzyjmy do jednej z klas Zespołu Szkół Ogólnokształcących w Suwałkach.

(Gwar głosów, przez który z trudem przebija się dźwięk dzwonka; gwar cichnie)

UCZENNICA I: Tam naprawdę ludzie piszą to, co myślą. Przecież w tej chwili całe mnóstwo ludzi pyta się mnie, kiedy będzie trzeci numer „Ławy", który został skonfiskowany. Po prostu potrzebują jakiejś prawdy. Jeszcze jednym dodatnim punktem pisma jest to, że redaguje je młodzież, a nie ludzie dorośli.

REPORTERKA: A jakie zarzuty słyszałaś pod adresem pisma?

UCZENNICA I: Szkalowanie, aha: że to jacyś kryminaliści redagują, że jest niepotrzebne, że redakcja nie może się wypowiadać w imieniu całej młodzieży.

UCZENNICA II: Czasopismo jest ciekawe w całości. Szczególnie został mi w pamięci pierwszy numer, bo to była nowość, budziła młodzież...

UCZEŃ I: Pismo to jako pierwsze — i chyba jedyne — od długiego czasu ukazało jakby prawdę. No bo wychodził „Licealista"; miał wywiady z kilkoma profesorami, no i w zasadzie... Może to było pismo szkolne, ale niektóre artykuły miało tendencyjne, jak to w prasie. Ogólnie: wszyscy walczyli, chcieli dobrze, ale nic nie wyszło.

UCZEŃ II: „Ława" powinna dalej się ukazywać.

UCZENNICA I: Musi się dalej ukazywać i będzie się ukazywać!

REPORTERKA: Niestety, ostatnie słowo nie będzie należało do młodzieży. Powróćmy jednak do przerwanej wypowiedzi prokuratora Tadeusza Biernata.

REPORTER: Onegdaj widziałem u pana akta śledztwa ważące kilogramy całe. Ta teczka jest chudziutka taka, skromniutka.

TADEUSZ BIERNAT: Ta teczka nie jest wielka i materiałów też nie ma za dużo, niemniej już w zasadzie śledztwo chcemy zakończyć. Jaka jest istota tego śledztwa i czego ono dotyczy? W grudniu w Suwałkach zaczęło pokazywać się pismo pt. „Ława", które było określane jako niezależne pismo młodzieży szkolnej. Natomiast w styczniu ukazał się drugi numer „Ławy", ale już jako niezależne pismo młodzieży suwalskiej. Te dwa egzemplarze zostały poddane opinii Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk, i posiadamy w aktach sprawy opinię tego Urzędu. Wynika z niej w sposób oczywisty, że tego rodzaju egzemplarze są wydawnictwem nielegalnym i nie mogą być rozpowszechniane. Są nielegalne dlatego, że zgodnie z artykułem 2 dekretu z 1946 roku o utworzeniu Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk, rozpowszechnianie wszelkich utworów za pomocą druku, słowa i obrazu podlega kontroli, którą sprawuje ten Urząd. W roku 1952 dekret ten został znowelizowany. Wprowadzono przepis, który mówi, że za uchylanie się spod kontroli zostaje wprowadzona sankcja karna. Nie jest ona wysoka: maksymalnie jeden rok pozbawienia wolności albo kara grzywny do dziesięciu tysięcy złotych. Można też zastosować obie te kary łącznie.

REPORTER: Zastępca dyrektora Zespołu Szkół Ogólnokształcących numer 1 w Suwałkach, Helena Pietrewicz. Nauczycielka, z której poglądami mamy obowiązek się liczyć, ponieważ pracuje z młodzieżą od trzydziestu sześciu lat. Posłuchajmy, co mówi o swoim uczniu, Andrzeju Tylendzie.

HELENA PIETREWICZ: Opinię ma dobrą, jest uczniem solidnym, systematycznym, zresztą przez cały czas bardzo aktywnym. Od czterech lat ma kabaret. Bardzo duży wkład wniósł do tego kabaretu, był jego organizatorem, wspólnie z nauczycielami pisał teksty. Ogłaszaliśmy konkursy na teksty do kabaretu. Wyniki nauczania ma bardzo dobre, frekwencja bez zarzutu, jest naprawdę subordynowanym uczniem wobec nauczycieli. Pomaga słabszym kolegom, nic do niego absolutnie w szkole nie mamy. Obyśmy więcej takich uczniów mieli; Co do pisma — mnie się wydaje, że to jest młodzieńczy entuzjazm. No i na fali tego, co się dzieje teraz w Polsce, oni też chcą być. Mam swój sąd o tekstach z tych dwóch gazetek, które znam. Szczególnie nie podoba mi się druga i artykuł o koleżankach z sąsiedniego liceum, że one są jałowice z infantylnymi twarzami. Ja Andrzeja chciałam bić na korytarzu, ledwie siebie powstrzymałam, ze względu nawet na kulturę słowa.

REPORTER: W drugim numerze jest fragment, który zbulwersował i młodzież, i nauczycieli.

ANDRZEJ TYLENDA: „Zresztą w Fabryce Półfabrykatów pt. II LO młodzież nic nie wie. Po korytarzach tego skoszarowanego jak za czasów »Nocy Apuchtinowskiej«, uczyliszcza spacerują zdrowe, rumiane jałowice z wypisanym na twarzach chronicznym infantylizmem. Wystarczy przysłuchać się rozmowom tych osiemnastolatek, by utwierdzić się w przekonaniu co do ich szlachetnego ubóstwa myśli". Nie uważam, żeby ten fragment był obraźliwy. Po prostu specyfika pisma niezależnego wymaga od nas tego, abyśmy wyrażali własne, subiektywne odczucia na jego łamach. Proszę bardzo, tu jest karteczka od uczennic z II LO następującej treści: „W związku z trudnościami nabycia papieru toaletowego zapraszamy ciebie i twoich kolegów, Maćka i Wojtka, oraz resztę, do oblizywania podogonia jałowic z II LO w klozecie. Będzie to lepsze społecznie aniżeli produkcja wypocin w pokątnym klozetowym piśmie »Ława«. Zapraszamy — jałowice z II LO". Być może zagalapowaliśmy się trochę, ale myślę, że to wynika z tego, iż młodzież przez wiele, wiele lat nie mówiła w ogóle, nie umiała mówić, nie nauczono jej mówić o swoich sprawach, o swoich poglądach. Nie mogliśmy się uczyć na własnych błędach, gdyż w ogóle nam nie pozwalano działać ani mówić. Dziewczyny z II LO zorganizowały z nami spotkanie, w wyniku którego wyjaśniliśmy sobie sporne kwestie i doszliśmy do pewnych wniosków. Ustaliliśmy, że ich samorząd jest w inercji, że w ogóle nie istnieje, bo nie przejawia żadnej działalności; że II Liceum właściwie nie istnieje. Ideą pisma jest przedstawianie poglądów i zdań jak najbardziej kontrowersyjnych, bulwersujących. Chodzi o wywołanie polemiki. Przecież takie bulwersujące i kontrowersyjne opinie mają swoje tradycje. Przykładem jest np. Boy, jego słynne polemiki z pisarzami, profesorami nawet. Tam się przecież ludzie wyzywali od idiotów i nikt się za to nie obrażał. Był jakiś ruch i prąd myśli.

HELENA PIETREWICZ: Andrzej mi mówił, że oni zgłaszali się do dyrektora Zielińskiego, żeby im udzielono miejsca na jakiś klub dyskusyjny, i nauczycieli, i młodzieży...

ANDRZEJ TYLENDA: Miał się nazywać „Klub Wolnej Myśli". Z taką inicjatywą wystąpił Maciek Butkiewicz z Technikum Budowlanego, lecz spotkał się ze zdecydowanym oporem ze strony władz szkolnych.

REPORTER: To był błąd chyba?

HELENA PIETREWICZ: Uważam, że tak. Bo ktoś powinien wziąć odpowiedzialność za tę młodzież, taką krnąbrną, która chce coś zdziałać.

REPORTER: Przede wszystkim nauczyciele powinni się tym zająć, a nie prokurator?

HELENA PIETREWICZ: W moim pojęciu — tak. Trzeba z nimi rozmawiać, dyskutować, i to dużo! W tej chwili przychodzi do mnie geograf i mówi: „Pani dyrektor, co ja mam ludziom powiedzieć? Geografia gospodarcza, roczniki statystyczne do niczego, w podręcznikach androny, co ja im powiem na tej geografii gospodarczej?" Mówię: ucz pan ich po mapie jeździć patykiem.

(Na kolegium redakcyjnym „Ławy")

REPORTER: Gdybyście się nazywali gazetką szkolną, a nie międzyszkolną albo gazetą młodzieży suwalskiej, to nie mielibyście tych kłopotów.

ANDRZEJ TYLENDA: Tak, ale gdybyśmy byli gazetką szkolną, to ta gazetka istniałaby prawdopodobnie tak, jak „Licealista" — kilka miesięcy. Oprócz tego gazetki szkolne nie integrują młodzieży na forum miasta.

REPORTER: Dlaczego nie chcecie wyjednać debitu cenzury?

KOLEGIANT I: Dlatego, że nasze teksty musiałyby być tekstami tego pana, który by je cenzurował. Byłyby bardzo okrojone i nie ujawniałyby naszej spontanicznej myśli. Pismo nie zawierałoby naszych poglądów lecz poglądy przetransformowane przez widzimisię i dobry ton pana cenzora. A nie uważam, żeby pismo uczniowskie, które ma takie szczytne ideały, musiało mieć jakikolwiek nadzór zewnętrzny.

REPORTER: Ale prawo jednoznacznie to określa.

KOLEGIANT II: To co, wydawalibyśmy tytuł, stopkę redakcyjną i białe kartki, tak? Bo my jesteśmy brutalnie odpychani od tego, co się nazywa walką o naszą wspólną świadomość. Nam się brutalnie tego zabrania, nie wyjaśniając przyczyn ani powodów.

REPORTER: Prokurator mówił, że on nie ma żadnych zastrzeżeń do zawartości merytorycznej waszego pisma, chodzi mu jednak o konkretny paragraf.

ANDRZEJ TYLENDA: My nie możemy hołdować pomnikom biurokracji, jakimi są tomy paragrafów, jeśli mamy takie szczytne ideały. Naszym jedynym celem jest realizacja tych ideałów i konfrontacja naszych poglądów, a nie hołdowanie biurokratycznym zaleceniom czy podpieranie się stertami tomów zawierających bezsensowne paragrafy.

REPORTERKA: Jak wy widzicie dalszą swoją działalność, skoro milicja skonfiskowała wam trzeci numer pisma?

ANDRZEJ TYLENDA: Trzeci numer mamy jeszcze zamiar wydać. Ukazałby się już dawno, tylko że on musi być taki sam, jak ten skonfiskowany.

REPORTER: Dorośli określają was jako grupę nieodpowiedzialnych ludzi, bo to, co robicie, jest działalnością publiczną. Dlaczego nie chcecie próbować dochodzenia swoich praw drogą legalną, z góry zakładając, że to wam będzie krępowało wymianę myśli i głoszenie poglądów?

KOLEGIANT II: W samym tytule pisma jest słowo „niezależne", to chyba wszystko wyjaśnia.

REPORTERKA: Ale dorośli uważają, że to nie jest niezależne, lecz nielegalne.

ANDRZEJ TYLENDA: Więc dorośli źle uważają, bo nie rozumieją specyfiki pisma niezależnego. Nie potrafią też zrozumieć, że w końcu naprawdę można w tym kraju mówić to, co się myśli, zwłaszcza młodzieży.

REPORTER. Ale po co dobrowolnie wystawiacie się do ciosu?

ANDRZEJ TYLENDA. Dlatego, że mamy czyste sumienia i czyste intencje. Jeśli przegramy, to tylko przez fakt, że ktoś nie będzie walczył z nami fer. Tylko dlatego.

REPORTER: A może wy jesteście grupą młodych, ambitnych, wrażliwych ludzi, ale czupurnych, krnąbrnych i zadziornych?

ANDRZEJ TYLENDA: I taka powinna być młodzież.

obyczaje

PAMIĘTNIK NASTOLATKA

bałwana za uszy

pokolenia

13 IX 1980

Należę do harcerstwa i jestem nawet drużynową. Chodzę regularnie na zbiórki, choć uważam to za stratę czasu Na każdym zebraniu dochodzimy do wniosku, że harcerstwo w naszej szkole to „lipa", bo nic się nie dzieje. Nie podejmujemy jednak żadnych kroków, aby cokolwiek zmienić. Zresztą, kto ma na to czas?

Kocham rock, i szaleję za grupą Vox. Regularnie uczęszczam na dyskoteki szkolne. Tam mogę się wyżyć. Razem z Majką. Majka to moja najlepsza koleżanka. Trochę zarozumiała, ale w rezultacie fajna. Wiele się przy niej nauczyłam. A w ogóle to zmieniłam się ostatnio. Właściwie jaka ja jestem? Co do wyglądu zewnętrznego, wolę się nie wypowiadać. Przecież to nieważne. A tak od środka? Też nic szczególnego. Majka mówi, że jestem kołtunką. Możliwe. Zawsze twierdzili, że nic ze mnie dobrego nie wyrośnie.

Chciałabym wejść do samorządu szkolnego, ale za wysokie progi. W ogóle nasz samorząd jest straszny. Absolutnie żadnej działalności. Tylko zebrania. Okropne rzeczy. Wszystko dlatego, że przewodniczącą jest Szowska, która wiecznie na nic nie ma czasu. Wiadomo, abiturientka.

Klasę mamy średnią, a solidarni jesteśmy tylko w jednym — nienawidzimy wszyscy matematyki. Wiadomo, „my sa humaniści" — jak określa nas pogardliwie nauczyciel od tego przedmiotu

14 IX 1980

Zupełnie nie rozumiem naszego pokolenia. Jest dosłownie okropne. Podłość. Na zebraniu drużynowych Smowicz z IVc wstał i powiedział, że należałoby założyć w naszej szkole ZSMP. Jej, co się działo! Wszyscy dosłownie pokładali się ze śmiechu. A najbardziej nasz druh Wszystko we mnie zakipiało. Wstałam i uderzyłam zeszytem w ławkę.

— Nie wiem, czy to był żart — powiedziałam — ale jeżeli poważny projekt, to ja mogę się tym zająć. No, po tym już nikt nie mógł ich uspokoić. Ryki słychać było dwa piętra wyżej. Moje oburzenie nie miało granic. Na szczęście po zbiórce zobaczyłam Parysa. On działa na mnie uspokajająco. Nerwy — jak ręką odjął. Ale nie rozumiem, co ich tak rozśmieszyło? Przecież to wspaniałe, taka solidna i porządna organizacja. A zresztą, co mnie to obchodzi? Nie chcą, to nie.

Okazało się zresztą, że Smowicz faktycznie powiedział to dla zgrywy. A w ogóle, to go nie cierpię. Dureń. Gdybym mogła, to powiedziałabym mu, co o nim myślę. Wyżaliłam się przed Majką, ale ona była odmiennego zdania.

— Nie bądź naiwna — powiedziała — Nie zgrywaj się na taką społecznicę, bo i tak wszyscy wiedzą, że nią nie jesteś Masz harcerstwo, proszę, pole do popisu. Widać tylko twoją bierność, nic więcej.

No tak, faktycznie, ma rację. Ale przecież sama niczego nie zrobię. Kiedyś, na przykład, wysunęłam propozycję, żeby zorganizować w szkole wieczorek poezji. Nastąpiło długie milczenie, a potem zmieniono temat. Wiadomo, przecież i tak nikt by nie przyszedł. Za to wszyscy jak jeden mąż poparli propozycję Smowicza, żeby zorganizować dyskotekę. Co prawda bawiłam się na tej dyskotece wspaniale, ale trzeba przecież odchamić się od czasu do czasu.

19 IX 1980

Znowu było zebranie harcerskie. Bitą godzinę dyskutowaliśmy, co należałoby zmienić w naszej organizacji.

— Nareszcie zacząć działać — odezwał się Krzysztof z IV klasy. Jednak po dłuższym zastanowieniu doszliśmy do wniosku, że to nie ma sensu.

— Dobrze jest, jak jest — podsumowała Szawska, a wszycy się z nią zgodzili. Bo faktycznie, harcerstwo to cudowna rzecz, ale przecież młodzież niczego sama nie zrobi. Potrzebny jest ktoś starszy, ktoś, kto by umiejętnie kierował nami.

Kiedyś na przykład chcieliśmy zorganizować biwak. Poszliśmy do profesora ZPT w sprawie sprzętu. Chodziło o namioty i śpiwory. Wszystko się znalazło. Mieliśmy szczęście. Chwilowe zresztą, bo kiedy poszliśmy po odbiór, to okazało się, że ubiegł nas matematyk. Byliśmy oburzeni.

— Zrozumcie — tłumaczył nam potem druh — nikt przecież uczniów nie traktuje poważnie. — No, skoro tak to bądźmy więc naprawdę niepoważni i nie podchodźmy do niczego serio. Przecież tak nas uczą życia.

W ogóle nie mogę zrozumieć, dlaczego tak jest, że nauczyciele nie widzą w nas ludzi Po prostu uczniów, uczące się maszyny. Dla nich nie mamy wnętrza, nie mamy uczuć, nie mamy własnego „ja". A przecież czujemy. Wiemy, co dobre, a co złe. Możemy kochać i nienawidzić. Jesteśmy dorośli. Szliśmy do szkoły średniej z takim zapałem, z taką ufnością, że nauczą nas, co to jest świat, że przygotują nas do życia, wytyczą przed nami właściwą drogę. Z bezgraniczną wiarą oddaliśmy się w ich ręce. Ich — profesorów. Nie wiedzieliśmy, co to kłamać. A dzisiaj?

— Nauczyli się cwaniactwa — jak mówi nasz matematyk.

Tak. Dzisiaj jesteśmy cwani. Oszukujemy, kłamiemy, nienawidzimy. Ale kto nas tego nauczył? Kto pierwszy nam powiedział, że życie jest podłe? Dlatego właśnie nosimy mundurki, czerwone krajki, ale gdy trzeba ochotników do czynu społecznego, to chowamy się jeden za drugiego. Po prostu, żeby do czegokolwiek dojść, trzeba być chytrym, jak mówi nasza wychowawczyni.

21 IX 1980

Na polaku rozgorzała burzliwa dyskusja na temat naszego stosunku do obowiązków, jakie nakłada na nas szkoła. Rozpoczął ją Marek, który po świńsku zarzucił Aśce, że bezczelnie ściąga przy odpowiedziach na historii. Klasa podzieliła się na dwa obozy i mało nie doszło do bijatyki, gdyby nie interwencja wychowawczyni. Skakaliśmy sobie do oczu, obrzucaliśmy epitetami, wyciągaliśmy najstarsze i najbrudniejsze nasze sprawki. Wreszcie Aśka podsumowała: — A w ogóle uważam naszą dyskusję za bezsensowną. Wiadomo przecież, że nikt dzisiaj nie kieruje się żadnymi zasadami, bo kto bardziej się pcha, ten lepszy. I wątpię, czy znalazłby się w naszej szkole choć jeden uczeń, który mając możliwość ściągania, przyznałby się lojalnie, że jest nieprzygotowany.

Wszyscy zgodziliśmy się z nią, a wychowawczyni była zrozpaczona. — Boże, młoda generacja! — powtarzała wychodząc z klasy.

Faktycznie, to, że nie mamy żadny zasad, jest raczej straszne niż śmieszne. W końcu czego my nauczymy młodsze pokolenia? Chyba tego samego, czego nauczono nas A więc świat nigdy nie wyjdzie z bałogu.

22 IX 1980

Jak mi ciężko. Przecież ja nawet nie wiem, czego chcę. Gdybym mogła się zdecydować. Nie wiem, czy to będzie filologia francuska. Po prostu nie czuję się na siłach. Wiem, że przecież trzeba coś wybrać, ale co? Jest mi zupełnie obojętne, jaki kierunek. Może być nawet deficytowy. Aby studiować. Wyższe wykształcenie — to dla mnie wszystko. Majka mówi, że trzeba mieć powołanie, zainteresowanie. Guzik. Pusty frazes, brzmiący wytwornie, ale zupełnie zdezaktualizowany. Zawsze oceniałam ludzi według stopnia wykształcenia. Głupia, ale taka już jestem. Więc co zrobię, gdy nie dostanę tej rzeczy, tak dla mnie ważnej?

Ciągle się miotam. Po prostu znalazłam sens życia w ogóle, lecz nie potrafię zrobić, aby stał się on sensem życia mojego. Oczywiście w grę wchodzą tylko kierunki: romanistyka, psychologia i pedagogika. Więc co, mam losować? Szczęście, że na tych kierunkach zdaje się te same przedmioty. Nie, choćbym miała stanąć na uszach, to i tak muszę studiować. Do diabła, w końcu nie jestem aż taką kretynką.

23 IX 1980

Na polaku wydało się, jak podchodzimy do tego przedmiotu.

— „Chłopi" przeczytani? — spytała polonistka.

— Przeczytani! — wrzasnęliśmy chórem.

— To proszę wyjąć karteczki.

Tego nikt się nie spodziewał. A pytania były podchwytliwe. Pierwszy rząd — „Historia Jagustynki", drugi — „Spór o las". Po sprawdzeniu okazało się, że lekturę przeczytało 5 osób. Jesteśmy coraz bardziej solidarni. Polonistka była wściekła.

Fragmenty pamiętnika Magdy z Suwalskiego
FOT. GABOR LÖRINCZY

byli tylko zabici

Przed 150 laty — 26 maja 1831 r. rozegrała się pod Ostrołęką jedna z najkrwawszych bitew Powstania Listopadowego. Była ostatnim, dramatycznym akordem walk wolnościowych, przesądzających o losach zrywu powstańczego z lat 1830—31. Czy finał musiał być właśnie taki? Poprzedziło go przecież nieprzerwane

PASMO ZWYCIĘSTW

Wielu historyków twierdzi, iż w Powstaniu Listopadowym — jak w żadnym innym — mieliśmy nie tylko największe, ale i realne szanse zwycięstwa. Przecież pomimo nierównych zasobów ludzkich i materialnych, odniesiono wcześniej szereg, i to zdecydowanych, zwycięstw. Pod Dobrem, Wawrem, Dembem Wielkim, Iganiami. Przez kilka miesięcy odnoszono zwycięstwa nad potężnym mocarstwem carów.

W tym dniu naprzeciw siebie stanęły wojska polskie, w liczbie — 26.300 piechoty, 6400 jazdy, 80 dział i rosyjskie — 30.000 piechoty, 6400 jazdy i 218 dział. Rankiem, 26 maja 1831 roku, armia Dybicza szybkim marszem zbliżyła się do samej Ostrołęki. W mieście pozostawały oddziały generałów: Łubieńskiego i Bogusławskiego, zaś główne siły polskie rozlokowano na prawym brzegu Narwi. Nieuchronnie zbliżała się chwila decydującego starcia.

Tymczasem Wódz Naczelny, Jan Skrzynecki, jakby nie wierzył w nadchodzącą bitwę. W sztabie głównym, jak i w całym wojsku, panowała atmosfera błogiej beztroski. Wspomina ten moment kapitan Stanisław Jabłonowski, który przybył do Ostrołęki w godzinach rannych 26 maja 1831 roku: *„W oberży zastałem wielu oficerów grających w bilard i zabawiających się. Zresztą w tym ładnym miasteczku było wszystko w porządku; sklepy pootwierane, mieszkańcy zajęci codziennymi interesami swoimi, słowem spokój powszedni"*.

Zakłócił go o godz. 9.00 dźwięk kanonad. Rozpoczął się atak. Miasto płonęło. Na ulicach — zacięta walka. Wśród walczących żołnierze wyróżniający się brawurową wręcz odwagą — z 4 pułku Piechoty Liniowej (nazywani „czwartakami"). Mimo nadludzkich wysiłków ich położenie stawało się jednak coraz bardziej dramatyczne, gdyż mogli zostać w każdej chwili odcięci od swoich wojsk, rozlokowanych na prawym brzegu Narwi, tuż przy trakcie do Warszawy. Generał Bogusławski postanawia wycofać się z wojskiem za Narew. Udaje się zepchnąć nieprzyjaciela z mostu, przedrzeć za rzekę i dołączyć do sił głównych. Wkrótce wkraczają na most i żołnierze rosyjscy — między godz. 11.00 a 12.00 zajmują płonący gród. Ich pułki uderzają z kolei na główne zgrupowanie polskich wojsk. I chyba dopiero w tym momencie wódz naczelny, gen. Skrzynecki uświadamia całą grozę sytuacji, postanawiając stoczyć bitwę.

NA OSTROŁĘCKICH BŁONIACH

Pomimo złej sytuacji topograficznej (podmokły teren, trzęsawiska) wojsko raz po raz rusza do szaleńczych ataków. W ogień idzie pułk za pułkiem. Gen. Skrzynecki chce za wszelką cenę zmusić nieprzyjaciela do odwrotu. Teraz, wydaje się być nieustraszonym: trafia tam, gdzie grozi największe niebezpieczeństwo, osobiście prowadzi żołnierzy do ataku. Z pełnym poświęceniem walczą również żołnierze.

Mimo bohaterstwa, perspektywa zwycięstwa zaczyna jednak oddalać się. Wojska Dybicza, wspomagane wciąż przez nowe bataliony, atakują bez przerwy. Sypie się dosłownie grad kul i granatów. Na polu bitewnym leżą już setki poległych. Wśród nich generałowie: Ludwik Kicki, Henryk Kamieński. Rannych jest też wielu wyższych oficerów, m.in.: Bogusławski, Małachowski, Pac, Rybiski. Ciężkie rany odnosi działacz i rewolucjonista, późniejszy historyk powstania — Maurycy Mochnacki. Coraz bardziej upadają na duchu szeregowi, oficerowie, sam Wódz Naczelny.

ZBLIŻA SIĘ WIECZÓR

Cichną powoli strzały i ludzkie okrzyki. Klęska jest coraz bliższa. I właśnie w tym krytycznym momencie wkracza do akcji ppłk. Bem ze swoją słynną szarżą artylerii. Napór wojsk rosyjskich zostaje zatrzymany. Ale salwy artyleryjskie były już tylko ostatnim akordem całodniowych zmagań. Biegu bitwy nie udało się odwrócić. Szarża ta miała jednak swoje historyczne znaczenie — gdyby zabrakło brawurowego ataku, to z pewnością już wtedy, na błoniach ostrołęckich — w dniu 26 maja, nastąpiłoby jednocześnie zakończenie Powstania Listopadowego. Wódz naczelny, ściskając gorąco Bema powiedział wówczas: *„Tyś ocalił nas, tyś pułkowniku uchronił od klęski nad klęskami"*.

Wysoka była cena tej bitwy. Poległo blisko 2000 żołnierzy, wielu ochotników — kosynierów, wśród których nie zabrakło i miejscowych Kurpi. Liczba rannych wynosiła blisko 3000, wziętych do niewoli — około 1,5 tys. W sumie, bilans strat przekroczył ponad 6 tysięcy. Mniej więcej takie same straty poniosły i wojska rosyjskie. Po całodziennej bitwie Skrzynecki, patrząc o zmroku na pobojowisko wypowiedział pamiętne słowa: *„przegraliśmy najsromotniejszą bitwę"*. To, co wtedy się stało określił lapidarnie, a wymownie: *„wszystko stracone"*. W jakim stopniu winę za

WYNIK BITWY

ponosi sam Wódz Naczelny?

Otóż jeszcze przed rozpoczęciem działań generał Jan Skrzynecki podjął szereg brzemiennych w skutki decyzji, których motywy są trudne do wyjaśnienia, niezrozumiałe nawet dla jego współczesnych, uczestników walk pod Ostrołęką. Oto np. generał Jakub Lewiński (1792—1867) zapytuje: *„Dlaczego rozkazano korpusowi Łubieńskiego zostać pod Ławami, gdy główna armia przeszła za Narew [...]. Dlaczego tak niedołężnie przedsięwzięto środki do zniszczenia mostów na Narwi. Dlaczego w samym początku bitwy nie posłano Gełgudowi rozkazu opuszczenia Łomży i prędkiego połączenia się z nami?"* Takich i podobnych pytań nasuwa się więcej: *„Dlaczego Jan Skrzynecki jako wódz naczelny, dał się całkowicie zaskoczyć wojskom rosyjskim? Czym się kierował, że postanowił tu, a nie gdzie indziej, stoczyć bitwę? Dlaczego w dniu 26 maja polecił wysłać część skrzyń z amunicją do Różana? Jakie przyczyny zadecydowały o tym, że dopiero o godz. 19.00, kiedy bitwa zaczęła się chylić ku upadkowi — wysłano kurierów z rozkazem do Łomży o szybkie przybycie dywizji Giełguda na pomoc walczącej armii? Dlaczego dopiero w końcowej fazie bitwy włączono do działań baterię konną Bema?"* Być może, że Wódz Naczelny miał powody do takich czy innych decyzji. Nie ulega jednak wątpliwości, że niektóre miały fatalny wpływ na przebieg i wynik bitwy.

A poza tym — wykazał kompletny brak umiejętności dowodzenia. Rzucał do boju poszczególne pułki, kompanie, ale działania te nie wynikały z koncepcji strategiczno-taktycznej, a były dyktowane raczej impulsem, bieżącą amplitudą boju. Oto najbliższy jego współpracownik — Generał Ignacy Prądzyński, pełniący w dniu bitwy pod Ostrołęką obowiązki szefa sztabu, zanotował w swoich wspomnieniach: *„Sam Wódz Naczelny Polski wyprowadził całą swoją piechotę na pastwę tych kilkudziesięciu dział [...]. Ataki na Rosjan były wznawiane jeden za drugim, zawsze bez związku; zawsze kilkoma batalionami [...]. Generał Skrzynecki jeździł po krwawym polu wśród odmętu przez siebie samego sprawionego"*. Adiutant Wodza Naczelnego Władysław Zamoyski (1803 — — 1863) pisał: *„Uderzały nasze kolumny raz po raz, ale pojedynczo, bez związku, bez planu. Sam Skrzynecki niejedną kolumnę pod ogniem kartaczy prowadził, ale wszystko nadaremnie"*. Natomiast poseł ziemi ostrołęckiej Stanisław Barzykowski (1792—1872) stwierdził: *„Skrzynecki prawie dowolnie wystawił nas na klęski, które były wstępem, otwarciem grobu dla naszej ojczyzny. Tam stracił on imię i zaufanie, tam najlepszy nasz żołnierz poległ"*.

Na pewno więc nie sposób odmówić Skrzyneckiemu wielkiej odwagi, bohaterstwa, ale i zarzutu, że nie wypełnił dobrze roli dowódcy. Może niektóre błędy wynikały z samej jego osobowości, ale chyba nie tylko z tego. Wódz Naczelny miał — jak wiadomo — skłonności do kunktatorstwa, lękał się odpowiedzialności i prawdopodobnie nigdy nie wierzył w sukces powstania. Czyż taki wódz mógł zdecydowanie kierować bitwą? Czy mógł natchnąć wojsko duchem zwycięstwa? Z drugiej jednak strony trudno obwiniać za wynik bitwy ostrołęckiej tylko jego — złożyło się na to zbyt wiele innych przyczyn. Zresztą, jeszcze i dziś, mimo upływu tylu dziesięcioleci toczą się wokół nich dyskusje i spory.

Zostawmy dociekania historykom. Dla nas ważne jest przede wszystkim to, że żołnierz pod Ostrołęką nie splamił honoru, chociaż *„[...] nie sztandar zwycięstwa, ale chorągiew śmierci tu powiewała, nie było zwycięzcy ani zwyciężonego, byli tylko zabici"*.

STANISŁAW PAJKA

w ataku i odwrocie

Po wybuchu Powstania Listopadowego siły patriotyczne w ciągu grudnia i stycznia 1831 roku uwolniły od wojsk rosyjskich tereny Mazowsza. Cały kraj został podzielony na strefy działania, a województwo augustowskie, do którego należały wówczas Łomża i Kolno, otrzymało komisarza nadzwyczajnego powstania, w osobie Michała Godlewskiego. 5 lutego granice Królestwa Polskiego przekroczyły wojska rosyjskie, a 6 lutego weszły do Augustowa.

Powstańcy zbierali żywność i magazynowali ją po różnych miejscowościach. Jak zanotowano w dokumentach sprzed prawie 160 lat, w magazynach w Kolnie na powstańców czekało (w dniu 7 lutego 1831 r.): 857 korcy żyta, 199 — jęczmienia, 71 — grochu, 1847 — owsa i 335 kóp siana, 26 cetnarów mięsa i 137 garnców wódki. Tak duże zapasy żywności zebrane z ubogiego terenu świadczą wymownie o dużym poparciu Powstania przez ludność w Kolneńskiem. Niestety nie dotarły one do powstańców, gdyż wkraczające do Kolna, 7 lutego, wojska rosyjskie zagarnęły wszystko. Pod wieczór następnego dnia wojska te weszły do Łomży.

Burmistrz Kolna, Rafał Błoński 6 lutego porzucił urząd i przystąpił do powstańców, zostając w randze porucznika adiutantem Komisarza Nadzwyczajnego Województwa Augustowskiego, Michała Godlewskiego. Czyn ten, jak i późniejszy udział w wielu potyczkach na terenach kolneńskich był wzorem i chlubą kolnian przez długie dziesiątki lat. Wydaje się, że warto bliżej przedstawić tę bohaterską postać.

Urodził się w powiecie Dąbrowskim Obwodu Augustowskiego. W 1809 roku pracował jako kancelista w Prefekturze Departamentu Warszawskiego, zostając później dyrektorem tej kancelarii. Następnie prowadził dziennik podawaczy, był ekspedytorem podwód, służących Wydziałowi Żywności. Później, do roku 1818, był archiwistą Sekcji Żywności w Komisji Województwa Mazowieckiego, a od końca 1818 roku pracował jako rachmistrz prowadzący interesy Towarzystwa Ogniowego w Suwałkach. Przez Radę Województwa Augustowskiego został umieszczony na liście „kandydatów oczyszczonych" — do urzędów administracyjnych. Po złożeniu egzaminów w Komisji Egzaminacyjnej Departamentu Warszawskiego na stopień sekretarza prefektury oraz dzięki posiadanym kwalifikacjom (znał m.in. dobrze język niemiecki i rosyjski) został zatwierdzony przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych; tym samym był zwolniony od składania egzaminu na burmistrza w Kolnie, którym został z początkiem 1823 r.

Oddziały naczelnika Godlewskiego zbierały się na terenach Puszczy Kurpiowskiej, zgodnie z jego rozkazem, by *„w Obwodzie Łomżyńskim i gminach przeze mnie zajętych z 10 domow jednego człowieka silnego i zdrowego dobrowolnie namówionego do mej kolumny dostawić, z poleceniem aby w broń palną lub w niedostatku jej w kosę i siekierkę był opatrzony"*. W Lipnikach, gdzie również znajdowała się kwatera Godlewskiego, stacjonowało trzystukilkudziesięciu pierwszych strzelców i dwustupięćdziesięciu kawalerzystów. Oddziały kawalerii stały także w Kadzidle, w Dylewnie i Nowosiółkach. Największe siły powstańcze zgrupowane były koło Gawrych, znajdowały się również między wsiami Cieciory i Krusza.

Żołnierze rosyjscy przebywający w Kolnie często organizowali wypady rabunkowe do okolicznych wsi. Szczególnie okrutnie obchodzili się z Kurpiami Kozacy, czego przykładem może być zabójstwo włościanina wsi Serafin w dniu 23 lutego, w czasie nocnego rabunku żywności.

W tym samym dniu oddziały Godlewskiego zaatakowały Nowogród, niszcząc most na Narwi i przepędzając stacjonujący w tym mieście garnizon rosyjski. 27 lutego miejscem potyczki powstańców z wojskiem rosyjskim było Kolno. W raporcie o niej czytamy: *„W nocy oddział strzelców z częścią kawalerii naszej atakował miasto Kolno i wypędzał nieprzyjaciela z miasta, zabrał pięciu ludzi w niewolę, ubił im niemało, lecz z naszej strony było kilku rannych, jeden strzelec zabity i jeden oficer ranny. Nasi jednak cofnęli się z miasta."* Potyczki miały miejsce i w innych miejscowościach, a do znaczniejszych należało starcie pod Popiołkami. W kwietniu wojska powstańcze pod dowództwem Godlewskiego przeszły do Obwodu Augustowskiego.

Jeszcze raz witało Kolno powstańców po zwycięskim marszu wojska polskiego pod dowództwem gen. Giełguda, który 20 maja 1831 r. zdobył Łomżę, ustępujący wówczas korpus rosyjski gen. Sackena podążył w kierunku Stawisk i dalej do Rajgrodu. W następnych dniach wojska rosyjskie zostały wyparte zza Narwi. Kolno było znów wolne, tym razem niestety, już po raz ostatni w czasie trwania Powstania Listopadowego.

W potyczkach pod Nowogrodem, Kolnem i Popiołkami brał udział porucznik Rafał Błoński. Michał Godlewski zwalniając go z dalszej służby wojskowej 12 maja 1831 r., ze względu na stan zdrowia, napisał o nim iż *„obowiązki do swego stopnia przywiązane regularnie wypełniał, nie pobierając żadnej pensji"*. Po wkroczeniu Rosjan do Kolna, gdzie się leczył, przeszedł granicę w Wincencie i ukrywał się w Piszu. Tutaj wyśledzili go Kozacy, ale ostrzeżony na czas przez miejscową ludność mazurską, zdążył zbiec. Pod koniec roku wrócił do Polski, został aresztowany i uwięziony przez Rosjan.

Myślę, iż przypomnienie tej postaci w 150 rocznicę walk powstańczych na terenach obecnego województwa łomżyńskiego pozwoli nam uczcić pamięć nie tylko byłego burmistrza Kolna, ale także wielu innych bezimiennych patriotów.

CZESŁAW BRODZICKI

historia

WARUNKI PRENUMERATY: Prenumeratę przyjmują Oddziały RSW Prasa—Książka—Ruch" oraz urzędy pocztowe i doręczyciele w terminach: do 25 listopada na styczeń, I kwartał i półrocze roku następnego i na cały rok następny, do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty: kwartalna spodarki uspołecznionej, organizacje społeczne zamawiają prenumeratę w miejscowych oddziałach RSW „Prasa—Książka—Ruch". w których nie ma Oddziałów w urzędach pocztowych i u doręczycieli. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa—Książka—Ruch". Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28, 00-950 Warszawa konto NBP XV Oddział w Warszawie, nr 1153-201043-139-11; prenumeratę tę jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zleceniodawców instytucji i zakładów pracy

sport

na wozie

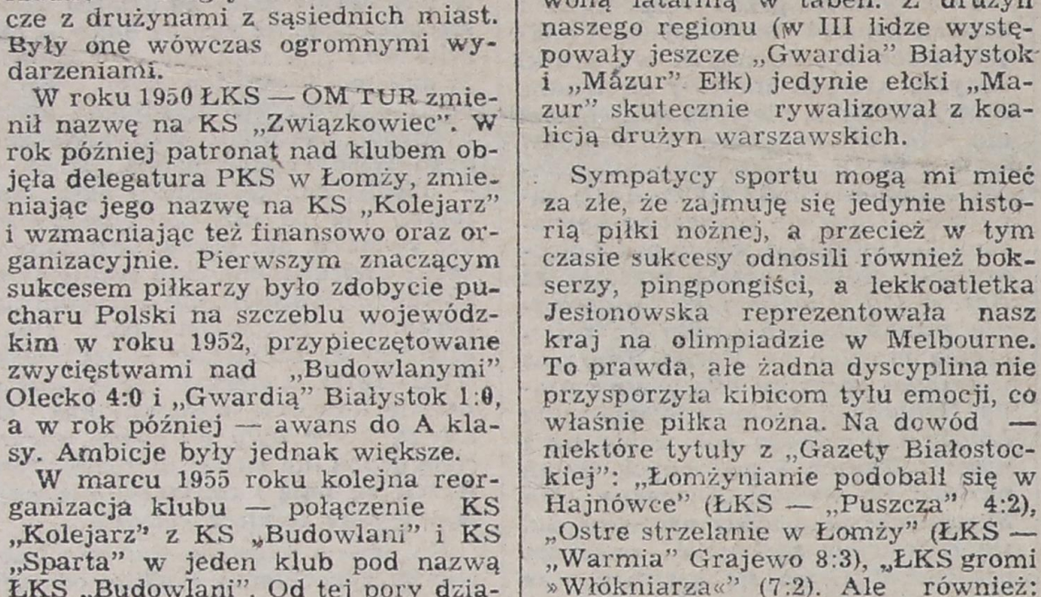

i pod wozem

W śród nielicznych obiektów w mieście, ocalałych z pożogi wojennej, zachował się stadion sportowy nad Narwią, zbudowany w roku 1934. Niejako siłą rzeczy organizacja sportu rozpoczęła się wtedy od piłki nożnej. Wkrótce Rafał Wszędyrówny zainicjował także szkolenie bokserów. Wznowili treningi siatkarze i lekkoatleci. Ale w jakich warunkach: przy braku sprzętu, bazy i fachowej opieki trenerskiej. Brakowało wszystkiego, prócz dobrych chęci. Sprzęt otrzymany z UNRRA zaspokajał tylko część potrzeb. Nikogo to jednak nie załamało. Pierwsze mecze rozgrywały miejscowe drużyny pomiędzy sobą: ŁKS — OM TUR, „Budowlani", „Gwardia", WKS, „Start" i „Sparta". Ku ogólnemu zadowoleniu kibiców — choć rzadko — rozgrywano także i mecze z drużynami z sąsiednich miast. Były one wówczas ogromnymi wydarzeniami.

W roku 1950 ŁKS — OM TUR zmienił nazwę na KS „Związkowiec". W rok później patronat nad klubem objęła delegatura PKS w Łomży, zmieniając jego nazwę na KS „Kolejarz" i wzmacniając też finansowo oraz organizacyjnie. Pierwszym znaczącym sukcesem piłkarzy było zdobycie pucharu Polski na szczeblu wojewódzkim w roku 1952, przypieczętowane zwycięstwami nad „Budowlanymi" Olecko 4:0 i „Gwardią" Białystok 1:0, a w rok później — awans do A klasy. Ambicje były jednak większe.

W marcu 1955 roku kolejna reorganizacja klubu — połączenie KS „Kolejarz" z KS „Budowlani" i KS „Sparta" w jeden klub pod nazwą ŁKS „Budowlani". Od tej pory działały w nim sekcje: piłki nożnej i siatkowej oraz lekkoatletyczna — jako wiodące, a tenisa stołowego, szachów i warcabów oraz tzw. ogólnego przystosowania — jako dyscypliny uzupełniające.

Reorganizacja nastąpiła w roku 1957. Tym razem ŁKS „Budowlani" złączył się ze „Startem". A ponieważ łomżyniacy zawsze kochali tradycje, klub wrócił do starej, przedwojennej nazwy: Łomżyński Klub Sportowy. Społeczeństwo przyjęło te zmiany entuzjastycznie: „No, teraz to my wam (białostoczanom, ełczanom i suwalczanom) pokażemy!" Entuzjazm udzielił się również dziennikarzowi „Gazety Białostockiej", który w artykule pod tytułem „Wszechstronną pomoc deklaruje społeczeństwo swojemu ŁKS-owi" pisał: *„Rejon Eksploatacji Dróg Publicznych dostarczy klubowi siatkę do siatkówki, stół ping-pongowy, dwa stoliki szachowe, dysk i dwie kule, a w sezonie letnim ufunduje dorywcze nagrody dla zawodników. Ekspozytura PKS w Łomży przydzieli klubowi samochody do przewożenia piłkarzy na mecze. Spółdzielnia Skórzano-Włókiennicza »Współpraca« dostarczy zawodnikom trzynaście wełnianych dresów. Spółdzielnia Inwalidów »Razem« przydzieli bokserom 15 par butów skórzanych. Instruktorzy: Wasilewski, Werczyński i inni zobowiązują się prowadzić bezpłatnie treningi sportowców".* Ale już po kilku dniach wyraźna zmiana nastawienia: *„Rada Okręgowa ZS »Start« w Białymstoku nie zgadza się na przekazanie sprzętu sportowego, który dotychczas był w posiadaniu tamtejszego koła, nowemu klubowi".*

Były to jednak trudności przejściowe. W roku 1958 młodzi bokserzy ŁKS-u, pod wodzą Tadeusza Wasilewskiego, zdobyli dwa tytuły mistrzów województwa białostockiego w kategorii juniorów: w wadze papierowej — Kowalewski, w wadze lekkiej — Krutulewicz. Tytuły wicemistrzowskie wywalczyli: Malinowski i Aleksandrowicz.

Piłkarze awansowali do III ligi, ale... z drużynami warszawskimi przegrywali mecz za meczem. Niektóre rezultaty: z „Okęciem" 0:6 i 0:10; z „Varsovią" 1:6 i z Polonią" 0:10; z „Orłem" 2:7, a z „Bzurą" Chodaków 1:6. Takie wyniki jednak w tamtych czasach nie były czymś wyjątkowym, bo np. „Okęcie" Warszawa rozgromiło „Warszawiankę" 9:1 i „Bzurę" 6:1, a „Legia" pokonała „Znicza" Pruszków 6:1. Faktem jest jednak, że ŁKS był czerwoną latarnią w tabeli. Z drużyn naszego regionu (w III lidze występowały jeszcze „Gwardia" Białystok i „Mazur" Ełk) jedynie ełcki „Mazur" skutecznie rywalizował z koalicją drużyn warszawskich.

Sympatycy sportu mogą mi mieć za złe, że zajmuję się jedynie historią piłki nożnej, a przecież w tym czasie sukcesy odnosili również bokserzy, pingpongiści, a lekkoatletka Jesionowska reprezentowała nasz kraj na olimpiadzie w Melbourne. To prawda, ale żadna dyscyplina nie przysporzyła kibicom tylu emocji, co właśnie piłka nożna. Na dowód — niektóre tytuły z „Gazety Białostockiej": „Łomżynianie podobali się w Hajnówce" (ŁKS — „Puszcza" 4:2), „Ostre strzelanie w Łomży" (ŁKS — „Warmia" Grajewo 8:3), „ŁKS gromi »Włókniarza«" (7:2). Ale również: „Pogrom ŁKS w Ełku" (Mazur" ŁKS 9:2), „W Suwałkach 6:2 dla »Wigier«", „Rekordowa ilość słupków i poprzeczek" („Włókniarz" — ŁKS 2:1). Zdarzały się jednak i takie kwiatki: „Chuligani wysiadka" — to o meczu ŁKS-u z „Wigrami" Suwałki — albo: „Łomżyński Meksyk" i „Skandaliczne zajścia po meczu ŁKS Łomża — „Gwardia" Białystok" (ŁKS przegrał 0:3), kiedy to „Gazeta Białostocka" relacjonowała: *„Właściwy dramat rozegrał się jednak dopiero po spotkaniu. Szatnię, do której udali się sędziowie, obległ niezliczony tłum zagorzałych zapaleńców, wygrażając sędziom. Kilku milicjantów, znajdujących się na boisku, rozpaczliwie rozkłada ręce, nie interweniuje. Sytuację ratuje jednak niespodziewanie samochód osobowy zajeżdżający po sędziów, pod którego naporem tłum się cofnął [...] za odjeżdżającym samochodem posypały się kamienie. Również auto ciężarowe, odwożące zawodników „Gwardii", zostało zasypane kamieniami".*

Dopiero w latach sześćdziesiątych miłośnicy piłki nożnej w Łomży mieli wiele powodów do zadowolenia. Przedtem jednak w mieście pojawił się słynny trener Dyksa — nazwisko nieobce sympatykom piłki nożnej — pokazał, jak należy szkolić piłkarzy i organizować klub. Na efekty nie trzeba było długo czekać. Stadion nad Narwią stał się za ciasny dla wszystkich chętnych do kopania piłki. Po Dyksie opiekę nad juniorami ŁKS-u przejął Józef Kaczyński. Jego podopieczni w roku 1962, w meczach z opolską „Odrą" o klubowe mistrzostwo Polski, zaprezentowali się bardzo dobrze (1:1 w Opolu i 1:2 w Łomży).

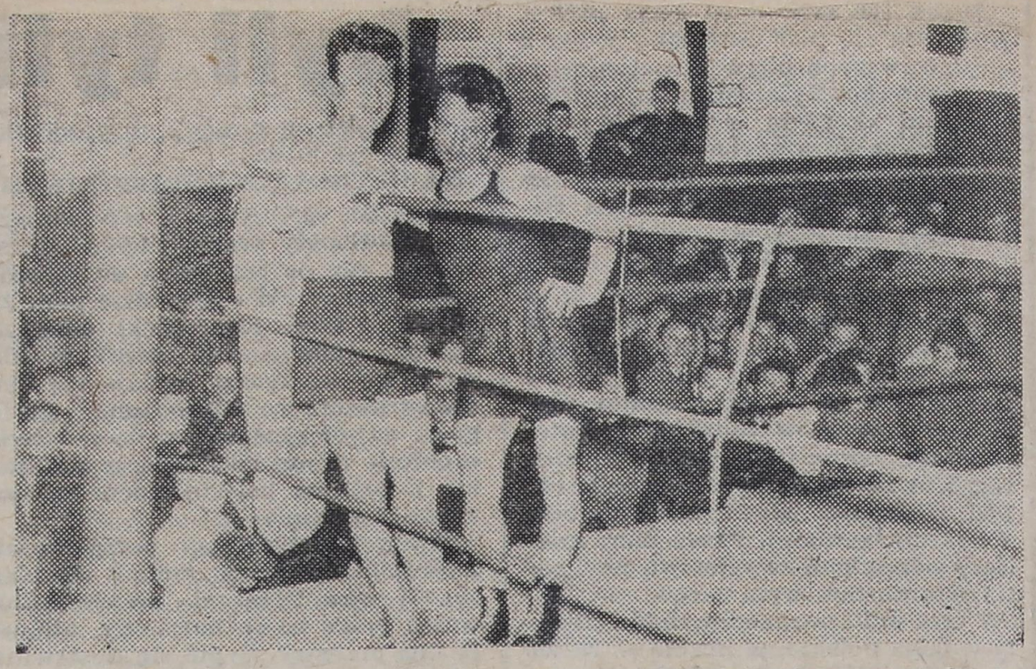

W roku 1964 drużyna, oparta głównie na „opolanach", wywalczyła tytuł zimowego mistrza Białostocczyzny i to — jak pisała „Gazeta Białostocka" — „nieoczekiwanie". Ale, również nieoczekiwanie dla kibiców, spadła z III ligi do A klasy. W lecie tego roku zremisowała 4:4 w pierwszym po wojnie międzynarodowym meczu w Łomży, rozegranym z reprezentacją Grodna. W rok później przegrała z warszawską „Legią" 6:0. Bramki w tym meczu zdobyli: Brychczy — 3, Żmijewski, Blauth i Apostel — po jednej (co za nazwiska!). Mecz zgromadził rekordową ilość widzów — 6 tysięcy!

Nadszedł rok 1966 — jubileusz 40-lecia klubu. *„Kulminacyjnym momentem uroczystości było wręczenie Klubowi sztandaru, ufundowanego przez społeczeństwo Łomży. Pamiątkowe gwoździe w drzewce sztandaru wbili: sekretarz KW PZPR — Witold Mikulski, zastępca Prokuratora Generalnego PRL, honorowy prezes ŁKS — Henryk Cieśluk, I sekretarz KP PZPR w Łomży — Zenon Włodarek, przewodniczący Prezydium PRN w Łomży — Romuald Łazarowicz i przedstawiciele szeregu instytucji łomżyńskich."*

A co na to piłkarze? Ci sprawili w roku jubileuszu swoim kibicom bardzo miły prezent. Wygrali rywalizację o mistrzostwo III ligi z białostockim „Włókniarzem", po drodze zdobywając jeszcze i puchar Polski w finałowym meczu, kiedy to pokonali w „jaskini lwa" „Włókniarza" 3:2.

Nikt w Łomży tego się nie spodziewał, chociaż być może wielu kibiców skrycie o tym marzyło. Mistrzostwo III ligi uprawniało piłkarzy do walki o wejście do II ligi. ŁKS występował wtedy w składzie: Józef Kaczyński, Kazimierz Wąsik, Zbigniew Kowalewski, Edward Bogusz, Andrzej Szyc, Stanisław Szwejkowski, Kazimierz Kaczyński, Bogdan Kochanowski, Zygmunt Perzanowski, Jan Węczkowski, Jerzy Kierażyński oraz Czesław Bruliński, Zbigniew Skoczylas, Stanisław Kordziewicz, Anatol Haponiuk i Henryk Dąbrowski. Piłkarze nie odnieśli jednak sukcesu w tych rozgrywkach; zajęli ostatecznie 5 miejsce, po uzyskaniu następujących rezultatów: ze „Starem" Starachowice 0:5 i 0:2, z „Orłem" Międzyrzec 2:0 i 2:2, z „Warmią" Olsztyn 0:5 i 3:4, z „Okęciem" Warszawa 2:7 i 0:0, z „Lechią" Szczecinek 3:1 i 3:1.

Najważniejszą imprezą z okazji jubileuszu był mecz ze stołeczną „Gwardią". Wygrał ŁKS 3:2, a bramki zdobyli: Kierażyński — 2 i Węczkowski — 1. W rok później — I-ligowy zespół warszawskich harpagonów zrehabilitował się w Łomży, wygrywając w meczu o puchar Polski 1:0.

Awansu do II ligi piłkarze ŁKS-u nie wywalczyli. Jednak obok „Włókniarza" Białystok — przez rok występowali w lidze międzywojewódzkiej, tyle że bez powodzenia. Degradacja ŁKS-u do klasy okręgowej nie była zaskoczeniem. Aż do roku 1978 piłkarze nie liczyli się wśród drużyn naszego regionu. Sukcesy tenisistów stołowych ŁKS-u w ostatnich latach nie rekompensowały kibicom niepowodzeń piłkarzy, ale miejmy nadzieję, że ciąg dalszy nastąpi, bo po latach chudych...

Opracował S.T.

UWAGA ABSOLWENCI SZKÓŁ PODSTAWOWYCH
NAUKA — ZAWÓD — PRACA

SPÓŁDZIELNIA PRACY METALOWCÓW im. 1 Maja w BIAŁYMSTOKU

SPÓŁDZIELNIA PRACY METALOWCÓW

im. 1 Maja

w BIAŁYMSTOKU

OGŁASZA

ZAPISY UCZNIÓW

BEZ EGZAMINÓW WSTĘPNYCH DO KLASY PIERWSZEJ
na rok szkolny 1981/82 w zawodzie:
— **ŚLUSARZ OGÓLNY z doskonaleniem umiejętności obróbki plastycznej.**
NAUKA TRWA DWA LATA.
Warunki przyjęcia:
— podanie i zgoda rodziców lub prawnego opiekuna,
— świadectwo ukończenia szkoły podstawowej,
— 2 fotografie,
— wiek 15—16 lat.
Wyróżniającym się uczniom zostanie zorganizowany kurs kierowców samochodowych na koszt Spółdzielni. Uczniowie mogą korzystać ze stołówki i bufetu oraz autobusu zakładowego dowożącego pracowników do pracy z terenu miasta.
Szkolenie obejmuje zakres nauczania 3 dni w tygodniu nauka zawodu w Spółdzielni oraz 3 dni teorii w Zespole Szkół Zawodowych CZSP im. kpt. Wysockiego w Białymstoku, ul. Nowotki 1.
W czasie nauki zawodu uczniowie otrzymują wynagrodzenie zgodnie z obowiązującymi przepisami.
Termin składania podań upływa z dniem 30 czerwca 1981 r.
Po ukończeniu nauki gwarantuje się pracę w Spółdzielni.
Szczegółowych informacji udziela:
Dział Służby Pracowniczej, Białystok, ul. Elewatorska 17, tel. 292-31 wew. 11.

K 1605-1

KONTAKTY

14.05.1981 TV 20.05.1981

CZWARTEK 14 MAJA 1981 R.
PROGRAM I
6.00. TTR, RTSŚ — chemia, sem. II; 6.30. — biologia, sem. II.
9.55. Język polski, kl. II lic.
11.00. Język polski, kl. VIII.
11.55. Nauka o człowieku, kl. VIII.
13.20. TTR, RTSŚ — fizyka, sem. IV; 13.50. — uprawa roślin, sem. IV.
14.20. Telewizja w sprawie miliardów.
15.25. Dziennik Telewizyjny.
15.55. XXXIV Wyścig Pokoju.
17.35. Czwartek TDC, m.in. Turniej Gospodarnych i „Był sobie człowiek".
18.15. Telewizja młodych przedstawia.
18.50. Dobranoc.
19.00. Sonda — „Znaki szczególne".
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.15. Teatr Faktu — Jan Bratkowski: „Próba rekonstrukcji (1) w reż. Jana Bratkowskiego.
21.20. Pegaz — magazyn publicystyczny.
22.05. Kronika Wyścigu Pokoju.
22.20. „Czarne i białe" — reportaż filmowy o Namibii.
22.45. Dziennik Telewizyjny.
23.00. Telewizja w sprawie miliardów.
PROGRAM II
16.25. Język rosyjski (30).
17.00. Język angielski dla zaawansowanych (5).
17.30. Język angielski (30).
18.00. Program morski.
18.30. „Tak czy inaczej".
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.00. NURT — język polski.
20.30. NURT — praca — technika.
21.00. NURT — psychologia.
21.30. 24 Godziny.
21.40. „Obrońcy" — „Nie wszystko można przewidzieć", film sensacyjny TV angielskiej.
22.05. „Bez recept".
22.35. Śpiewa Helena Obrazcowa.

PIĄTEK 15 MAJA 1981 R.
PROGRAM I
6.00. TTR, RTSŚ — fizyka, sem. IV; 6.30. — uprawa roślin, sem. IV.
8.10. Geografia, kl. VII.
9.00. Dla najmłodszych — „Książka twój przyjaciel".
9.55. Geografia, kl. VI.
11.00. Wychowanie obywatelskie, kl. VII.
11.55. Wychowanie obywatelskie, kl. VIII.
13.30. TTR, RTSŚ — uprawa roślin, sem. II; 14.00. — mechanizacja rolnictwa, sem. II.
15.00. NURT — praca — technika.
15.30. Dziennik Telewizyjny.
16.05. „Kółko graniaste".
16.35. XXXIV Wyścig Pokoju.
18.30. Magazyn motoryzacyjny.
18.50. Dobranoc.
19.00. Monitor Rządowy.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.00. Rolnicze rozmowy.
20.15. Teatr Faktu — Jan Bratkowski: „Próba rekonstrukcji" (2).
22.35. Dziennik Telewizyjny.
22.20. Kronika Wyścigu Pokoju.
PROGRAM II
16.25. Język francuski (30).
16.55. Język rosyjski (30).
17.30. Język angielski dla zaawansowanych (5).
18.00. Kino TDC — „Kino Obieżyświat".
18.30. Poradnia „Zaufanie".
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.00. „Wieczorne rozmowy w kręgu rodziny".
20.30. Koncert WOSPRiT.
21.40. 24 Godziny.
21.50. „Koniec nocy" — indyjski film społeczno-obyczajowy.

SOBOTA 16 MAJA 1981 R.
PROGRAM I
6.00. TTR, RTSŚ — uprawa roślin, sem. II; 6.30. — mechanizacja rolnictwa, sem. II.
7.00. TTR — hodowla zwierząt, sem. IV; 7.30. — mechanizacja rolnictwa, sem. IV.
8.30. „Braterstwo broni" — wojskowy film dokumentalny.
9.30. Studio 2.
10.50. „Przygody Bolka i Lolka".
11.00. Studio 2.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.00. „Punkt widzenia" (3).
20.50. Studio 2.
PROGRAM II
11.55. Tańczą soliści Teatru Opery i Baletu w Kijowie.
12.40. „Zmartwychwstanie" (1) w reż. Michaiła Szwejcera.
14.15. „Zgadnij, kim jestem".
15.00. „Książę sezonu" — film TP w reż. Witolda Orzechowskiego.
16.00. Popołudnie Przygody i Podróży.
17.35. „Pieniądze szczęścia nie dają" — film prod. rumuńskiej.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.00. „Niebezpieczny pościg" (7) — „Prokurator poszukiwany".
20.55. Studio Sport.
21.55. 24 Godziny.
22.05. „Przeboje mistrzów" (odc. XI) — program Janusza Cegiełły.
22.45. Poeci recytują wiersze — Józef Baran.

NIEDZIELA 17 MAJA 1981 R.
PROGRAM I
6.10. TTR, RTSŚ — hodowla zwierząt, sem. IV; 6.40. — mechanizacja rolnictwa, sem. IV.
7.30. Alarm przeciwpożarowy trwa.
7.40. Nowoczesność w domu i zagrodzie.
8.10. Emerytury dla rolników.
8.20. „Od słowa do działania" — program Redakcji Rolnej.
8.35. „Telewizjada".
9.00. „Teleranek, m.in. „Daktari".
10.30. Antena.
11.00. „Wielkie miasta świata" — Meksyk.
11.50. Dziennik Telewizyjny.
12.05 „Gdy się powiedziało a..." — program Redakcji Rolnej.
12.35. „Piękne głosy" — Ryszard Karczykowski.
13.25. Z kamerą wśród zwierząt.
14.10. „Paziowie Króla Zygmunta" — Krakowski Teatr Baśni.
15.00. Telewizyjny Koncert Życzeń.
16.00. Monitor Sejmowy.
16.30. Klub Sześciu Kontynentów.
17.15. „W świecie dzikich zwierząt" — Życie społeczne lwa"
17.40. Teatr Telewizji (Scena Popularna) — Wil Lipatow: „Wielski Sherlock Holmes" w reż. Andrzeja Zaorskiego.
19.00. „Fantik".
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.00. „Buddenbrookowie" (4).
21.00. Sportowa Niedziela.
21.30. „Lista obecności satyryków" — Daniel Passent.
22.55. Teatr Telewizji (Scena Poezji) — Jan Kasprowicz: „Żem człekiem jest przede wszystkim".
PROGRAM II
9.45. „Krótkofalowcy" — program wojskowy.
10.15. „Punkt widzenia" (3).
11.05. Przeboje tygodnia.
12.05. „Muzeum Sztuk Pięknych w Budapeszcie".
12.35. „Kijów i jego zabytki".
12.50. Fotowizje: „Zabytki".
13.35 Teatr Telewizji — Leon Kruczkowski: „Niemcy" w reż. Andrzeja Łapickiego.
17.15. „Polskie szlaki Chopina" — film muzyczny.
18.15. Sprawozdawczy magazyn sportowy.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.00. „Halo, tu Orkiestra i Balet Telewizji Czechosłowackiej".
21.00. Filmy Kazimierza Kutza: „Krzyż walecznych".

PONIEDZIAŁEK 18 MAJA 1981 R.
PROGRAM I
13.30. TTR, RTSŚ — język polski, sem. II; 14.00. — matematyka, sem. II.
15.00. NURT — psychologia.
15.30. Dziennik Telewizyjny.
16.00. XXXIV Wyścig Pokoju.
16.50. Zwierzyniec.
17.20. „Czterej pancerni i pies" (17) — „Klin".
18.15. „Krok po kroku" — wywłaszczenie.
18.50. „Piotruś samochwała".
19.00. Echa stadionów.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.00. Rolnicze rozmowy.
20.10. Teatr Telewizji (Scena Współczesna) — Michał Bułhakow: „Molier, czyli zmowa świętoszków" w reż. Macieja Wojtyszki.
22.10. Kronika Wyścigu Pokoju.
22.25. Ballady o Monte Cassino.
23.10. Dziennik Telewizyjny.
PROGRAM II
16.30. Język rosyjski (1).
17.00. Język francuski (1).
17.30. „Zacznijmy od Mony Lizy".
18.05. STUDIO BIS.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.00. STUDIO BIS.
22.00. 24 Godziny.
22.10. „Ballada o ścinaniu drzewa" — nowela filmowa TP w reż. Feriduna Erola.

WTOREK 19 MAJA 1981 R.
PROGRAM I
6.00. TTR, RTSŚ — język polski, sem. II; 6.30. — matematyka, sem. II.
9.00. Język polski, kl. I lic.
11.00. Wychowanie plastyczne, kl. III.
12.50. Rodzina współczesna, kl. I—II lic.
13.30. TTR, RTSŚ — matematyka, sem. IV.
14.00. TTR — uprawa roślin, sem. IV.
15.30. Dziennik Telewizyjny.
15.45. Obiektyw — Warszawa.
16.00. XXXIV Wyścig Pokoju.
17.20. Interstudio.
17.50. Polska Kronika Filmowa.
18.00. Magazyn CDN.
18.50. „Miś Uszatek".
19.00. Camerata.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.15. „Ludwik XI, czyli droga do korony" (1) — francuski film historyczny.
22.00. Kronika Wyścigu Pokoju.
22.15. Forum ekonomistów.
22.45. „Właściwy człowiek" — „Z próżnego i Salomon...".
23.20. Dziennik. Telewizyjny.
23.35. Telewizja w sprawie miliardów.
PROGRAM II
16.30. Język rosyjski (2).
17.00. Język francuski (2).
17.30. Język angielski dla zaawansowanych (6).
18.00. Dla młodych widzów: „Cała naprzód".
18.30. Spotkania literackie — „W kręgu „Auśry".
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.00. Antykwariat — „Początek czasu teraźniejszego".
20.30. Wtorek Melomana.
21.40. Program rozrywkowy.
22.00. Wieczór Filmowy — Stare Kino: „Wielcy aktorzy teatralni na filmowym ekranie", filmy Tadeusza Pałki.

ŚRODA 20 MAJA 1981 R.
PROGRAM I
6.00. TTR, RTSŚ — matematyka, sem. II; 6.30. — uprawa roślin, sem. IV.
9.00. Chemia, kl. VII.
9.55. Praca — technika, kl. I.
13.30. TTR, RTSŚ — biologia, sem. II.
14.30. Telewizja w sprawie miliardów.
15.00. NURT — język polski.
15.30. Dziennik Telewizyjny.
16.00. XXXIV Wyścig Pokoju.
17.20. „Michałki".
18.00. Dom i My — poradnik.
18.20. Klub Dobrej Książki.
18.50. „Kapeluszowe miasteczko".
19.00. „Wyspy Hiszpanii" — Tenerife.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.00. Generał Władysław Sikorski — wspomnienie i legenda.
21.00. „Trzy obrazy" — widowisko Teatru Wizji Ruchu z Lublina.
21.40. Kronika Wyścigu Pokoju.
21.55. Scena Współczesna — Hanna Krall: „Milczenie" w reż. Włodzimierza Nurkowskiego.
22.45. Dziennik Telewizyjny.
23.00. Telewizja w sprawie miliardów.
PROGRAM II
16.15. Język rosyjski (3).
16.45. Język francuski (3).
17.20. TWP — „Tajemnice sprawnego działania".
17.50. „Przygoda nad Morzem Czarnym" (2).
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.00. Kosmos 1981.
21.30. 24 Godziny.
21.40. Kosmos 1981.

Łomża, kino „Październik": 14—16 V — „Miś", prod. pol. (od lat 15); 17—19 V — „Dzięki Bogu już piątek", prod. USA (od lat 15); 20—22 V — „Bobby Derfield", prod. USA (od lat 15).
Ciechanowiec, kino „Meteor": 14—15 V — „Tak szalona, że może zabić", prod. franc. (od lat 15); 16—17 V — „Jajo węża", prod. RFN (od lat 18); 19—20 V — „Kung-fu", prod. pol. (od lat 15).
Grajewo, kino „Relax": 17—17 V — seanse zamknięte; 18—22 V — „Superpotwór", prod. jap. (bez ograniczeń).
Jedwabne, kino „Oaza": 14 V — „Rocky II", prod. USA (od lat 15); 16—17 V — „Pałac", prod. pol. (od lat 18); 20—21 V — „Ludzie godni szacunku", prod. włosk. (od lat 18).
Kolno, kino „Wrzos": 14—15 V — „Nieśmiertelni", prod. rum. (od lat 15); 16—17 V — „Śmierć z komputera", prod. franc. (od lat 15); 18—20 V — „Glina czy łajdak", prod. franc. (od lat 18).
Nowogród, kino „Ziemowit": 16—17 V — „Dyrygent", prod. pol. (od lat 15); 19—20 V — „Niespodziewana kariera", prod. bułg. (od lat 15).
Stawiski, kino „Saturn": 14—15 V — „Agnieszka idzie na śmierć", prod. włosk. (od lat 15); 16—17 V — „Nie taki zły", prod. franc. (od lat 15); 19—20 V — „Proces poszlakowy", prod. jap. (od lat 18).
Wysokie Mazowieckie, kino „Wars": 14—15 V — „Superpotwór", prod. jap. (bez ograniczeń); 16—17 V — „Ukryty w słońcu", prod. pol. (od lat 18); 18—20 V — „Śmierć człowieka skorumpowanego", prod. franc. (od lat 18).
Zambrów, kino „Kosmos": 14—16 V — „Cena strachu", prod. USA (od lat 18); 17—18 V — „Gorące polowanie" prod jap. (od lat 15); 19—20 V — „Kto przychodzi przed północą", prod. CSRS (od lat 15).
Kierownictwo kin zastrzega możliwość zmian programu.

Wojewódzki Dom Kultury w Łomży: Dni Kultury Osiedli Mieszkaniowych (w programie — turnieje rodzinne, zawody sportowe, giełda książki i prasy, zabawy i gry przy ognisku, koncerty kapeli ludowej), 15 V, o godz. 16.00 na Osiedlu Waryńskiego, 16 V, o godz. 16.00 na Osiedlu Jantar, 17 V, o godz. 16.00 na Osiedlu XXV-lecia PRL; eliminacje rejonowe III Festiwalu Piosenki Dziecięcej (w świetlicy Spółdzielni Mieszkaniowej, ul. Świerczewskiego 7 b), 14 V, godz. 10.00; koncert Zespołu Pieśni i Tańca „Łomża", 18 V, godz. 17.00; w Galerii Plastyki Nieprofesjonalnej (hol WDK) — wystawa malarstwa Czesława Dzieweczyńskiego z okazji XXV-lecia pracy twórczej.

Miejski Dom Kultury — Dom Środowisk Twórczych w Łomży: spotkanie młodych literatów z poetą bydgoskim Markiem Siwcem (w klubie „Pod Arkadami"), 16 V, godz. 16.00; spotkanie z red. Romualdem Dobrzyńskim nt. języka esperanto (w klubie „Pod Arkadami"), 20 V, godz. 17.00; wystawa karykatury autorstwa plastyków łomżyńskich (w klubie „Pod Arkadami"), czynna codziennie w godz. 10.00—18.00.

Stowarzyszenie PAX: „Setna rocznica urodzin gen. Władysława Sikorskiego" — spotkanie z red. Wojciechem Janickim, 14 V, o godz. 18.00 w sali Cechu Rzemiosł Różnych w Zambrowie i 15 V, o godz. 18.00 w sali Oddziału Miejskiego PAX w Łomży, ul. Rządowa 8; „Setna rocznica urodzin gen. Władysława Sikorskiego" — spotkanie z Waldemarem Pawłowskim, 18 V, o godz. 19.00 w sali Muzeum Rolnictwa im. Krzysztofa Kluka w Ciechanowcu, 19 V, o godz. 19.00 w sali MGDK w Wysokiem Mazowieckiem i 20 V, o godz. 18.00 w sali Oddziału Miejskiego PAX w Grajewie, ul. Ełcka 5.

Galeria Dawnej Fotografii, ul. Mariana Buczka (witryna sklepu tekstylnego): J. Cyroto — „Portret nieznanej dziewczyny" (z początku XX wieku).
Galeria Jednej Fotografii, ul. Ściegiennego 1 (witryna sklepu „Foto-Optyka"): Janusz Wądołowski — „Chlewik".

Galeria Twórczości Plastycznej Dzieci, ul. Marii Skłodowskiej-Curie 5 (Szkoła Podstawowa nr 3), czynna codziennie — oprócz niedziel i dni świątecznych — w godz. 8.00—18.00, w soboty w godz. 8.00—15.00: wystawa prac plastycznych dzieci i młodzieży z Międzynarodowego Konkursu Plastycznego „Shankar '79" — Indie.

Salon Wystawowy BWA, ul. Armii Czerwonej 19 (czynny codziennie — oprócz poniedziałków i dni poświątecznych — w godz. 12.00—18.00, w wolne soboty i niedziele w godz. 13.00—16.00: wystawa malarstwa Maksymiliana Starca.

W razie potrzeby

32-44 — dyżurująca apteka, ul. Giełczyńska 1.
997 — Milicja Obywatelska.
34-61 (do 65) — Pogotowie Energetyczne.
999 — Pogotowie Ratunkowe.
998 — Straż Pożarna.
Pogotowie Chirurgiczne, ul. Marii Skłodowskiej-Curie 1. Czynne cała dobę.

Sprostowanie

Przepraszamy Czytelników oraz Waldemara Świrgonia za przeinaczenie treści jego wypowiedzi w 17 nr. „Kontaktów". Na str. 4 druga wypowiedź w 3 łamie powinna brzmieć: „Oczywiście, jeżeli będzie w pełni autentyczny. [...] W Poznańskiem silna jest tradycja kółek rolniczych, w Rzeszowskiem gospodarka indywidualna i mocne dążenie do zorganizowania własnego, zawodowego związku."

Natomiast w nr. 18 pierwsze zdanie artykułu „Złote czasy dla jaroszów" (str. 13) powinno brzmieć: „Pytając o wegetarianów możemy usłyszeć, że są to ludzie, którzy mieli szczęście trafić na dostawę towarów do sklepu ogrodniczego". Przepraszamy Autora i Czytelników. Dodatkowo jeszcze za przypadek, który sprawił, że „stonka zmotoryzowana" znalazła się w tym samym numerze, co i zapowiadające ją „spięcie".

Ogłoszenia drobne

SZCZĘŚLIWIE kojarzy małżeństwa Biuro Matrymonialne „Mazury" Olsztyn 2, skrytka 336.
k 604-0

Biuro Matrymonialne „Piast", 84-300 Lębork, skr. pocz. 22 — poleca usługi.
p 371-0

„Syrenę" 105, rok 1976 — sprzedam Łomża, Sadowa 10, tel. 34-95
g 3035-1

Zatrudnię pracownika — najchętniej formiarza. Zakład Kaflarski, Sochonie 56 k/Wasilkowa. Kitlasz.
g 3037-1

Pewex

PRZEDSIĘBIORSTWO EKSPORTU WEWNĘTRZNEGO „Pewex"
ZESPÓŁ HANDLOWY w Białymstoku

informuje

P.T. Klientów o wprowadzeniu z dniem 11 maja 1981 r. sprzedaży szeregu atrakcyjnych towarów z 10 procentową bonifikatą.
Wszystkich zainteresowanych zapraszamy do naszych sklepów na terenie województwa — białostockiego, łomżyńskiego i suwalskiego.
k 1670-0

ŁOMŻYŃSKIE PRZEDSIĘBIORSTWO BUDOWLANE
w Łomży
zatrudni natychmiast
pracowników w następujących zawodach:;
— monterzy konstrukcji żelbetowych,
— spawacze elektryczni (uprawnienia na spawanie konstrukcji),
— murarze — tynkarze
— elektromonter (uprawnienia SEP bez ograniczenia napięcia),
— maszynista sprężarek (uprawnienia).
Warunki płacy i pracy do omówienia na miejscu w ŁPB w Łomży ul Nowogrodzka 1 pokój 5.
Pracownikom nie posiadającym rodzin (zamiejscowym) zapewniamy zakwaterowanie w hotelu robotniczym w Łomży.
k 1571-00

Łomżyński tygodnik społeczny pismo PZPR REDAGUJE ZESPÓŁ: Stanisław Zagórski — redaktor naczelny, Stefania Henczelowa — zastępca redaktora naczelnego, Nina Omelczenko — sekretarz redakcji, Lech Gizelbach Stanisław Kobowski, Juliusz Świredo, Danuta Wroniszewska, Aleksander Wroniszewski, Stanisław Zieliński, Fotoreporter — Gabor Lőrincz Redaktor graficzny — Zbigniew Henczel Korekta — Elżbieta Słupska STAŁE WSPÓŁPRACUJĄ: Andrzej Kozłara, Kleman Krzyżagórski Jan Kulka, Piotr Kuniewicz, Marek Kusiba, Tadeusz, Mochorski, Franciszek Piątkowski, Tomasz Piotrowski, Zbigniew Siedlecki, Andrzej Tchórzewski, Wojciech Woźniak KONCEPCJA GRAFICZNA Marek Grobel ADRES REDAKCJI: ul. Sadowa 10 18-400 Łomża Tel 34 95 40-22, telex — 863249 WYDAWCA: RSW „Prasa Książka-Ruch" Białostockie Wydawnictwo Prasowe w Białymstoku Druk Białostockie Zakłady Graficzne Zam. 782/81 r. Nakład 24.300. A-1 PL ISSL 0208 6840 — Nr Indeksu 36328 Ogłoszenia przyjmuje Biuro Reklam i Ogłoszeń Red tyd. „Kontakty" 18 400 Łomża, ul. Sadowa 10, tel 34-95 40-22 oraz wszystkie biura głośni RSW „Prasa Książka Ruch" na terenie całego kraju. Za treść ogłoszeń redakcja nie ponosi odpowiedzialności.

KONTAKTY

POKUSY
pod redakcją Andrzeja Koziary
organ samoistny

MINI-KABARET

PIEKIEŁKO

PRZEDSTAWIA DRAMAT ADMINISTRACYJNY

DIABELSKIE OBRACHUNKI

Jest nam właściwie obojętne, gdzie znajdują się cztery nasze znajome diabły, ob. ob. Dojlicki, Bużański, Narwiański i Biebrzański. Przecież już od dłuższego czasu znalazły się one w nader żałosnej sytuacji. Każda próba, powściągliwej nawet, aktywności natychmiast napotyka na trudności prawie nie do pokonania.

DOJLICKI: Koledzy! Powinniśmy szybko przejść do jakiejś sensownej akcji.

BIEBRZAŃSKI: Nic nowego. Słyszę o tym już parę miesięcy, a tu tymczasem wszystko po staremu. Jak nam ktoś przyłoży, za przeproszeniem, w dupę, to się posuwamy w stronę odwrotną od kierunku uderzenia.

NARWIAŃSKI: Już nawet nie możemy wynajdować przeciwników diabelskich prawd. Do tej pory przecież zawsze się ten numer udawał.

BUŻAŃSKI: Nie te czasy. Słyszę nawet od drobnego diabelskiego pomiotu, że mają nam zakładać nowy system pełnienia diabelskich posług, co w konsekwencji sprowadza się do redukcji etatów.

DOJLICKI: Uważam, że potrzebny jest nam wzrost napięcia. Napięcie czyni zamieszanie, robi się wtedy nerwowo i można się skutecznie dobrać temu i owemu do pośladków. Pretekst każdy jest tu dobry. Przypomnijcie sobie, koledzy, dawne czasy *(rozczulająco wzdycha)*.

NARWIAŃSKI: Można też tu i ówdzie groszem sypnąć.

BUŻAŃSKI: Ha, ha, ha. A wie kolega, na czym ja siedzę? Cały woreczek, na którym spoczywają moje członki, zapchany jest biletami bankowymi. Nawet chciałem dać połowę takiemu od rachunków budowlanych. Zaśmiał się tylko, diabelskie nasienie.

BIEBRZAŃSKI: Ja nazbierałem, chwalić Lucyfera, dwa i pół worka, nie licząc depozytu w drugiej strefie diabelskiej płatności. Już myślałem, że chociaż tym opędzę najpotrzebniejsze potrzeby, a tu ci Niezależna Kontrola Belzebuba łapę położyła.

BUŻAŃSKI: Wszyscy nazbieraliśmy trochę dóbr doczesnych, próbowałem nawet konsumować bilety papierowe, ale diabła tam. Żelazne za twarde, papierowe mają za mało białka i węglowodanów. Komórek tym nie zregenerujesz.

DOJLICKI: W ogóle ta regeneracja przypomina mi bardziej renegację.

BIEBRZAŃSKI: Milczeć, w imię najwyższych pryncypiów! Czy kolega widzi tu renegatów?

DOJLICKI: Jak by się tak dobrze przypatrzeć, to owszem, owszem.

NARWIAŃSKI: To niech kolega Dojlicki spojrzy sobie w lustro.

DOJLICKI: I vice versa.

BUŻAŃSKI: Odnoszę subiektywne wrażenie, że wszyscy jesteśmy siebie warci. Zupełnie jak ten plac pałaca.

DOJLICKI: Coś was, widzę, nie douczyli na tych zaocznych studiach ideologii diabelsko-piekielnej. Tytuł magistra ponoć macie już od 1971 roku.

BUŻAŃSKI: Nawet otworzyłem sobie przewód docentowo-doktorsko-habilitacyjny.

DOJLICKI: Przewód to żeście sobie otworzyli, ale chyba pokarmowy.

BIEBRZAŃSKI: Wy też, kolego Dojlicki byliście nienażarci. Jak tak sobie myślę teoretycznie, to odnoszę wrażenie, że wszyscy w pewnym momencie nabraliśmy takiego apetytu, iż zaczynamy się tym dławić, Jeszcze pomniejszy miot diabelski wspólnie z inną siłą zaczął dodawać nam rycyny.

BUŻAŃSKI: No, no, no...

DOJLICKI: Coś nam słabo idzie z kompleksowym wykończeniem Biebrzy. Weźmy się za nasze prastare pulwy.

Nastała cisza pełna wyczekiwania. Może za tydzień dowiemy się szczegółów.

WIESŁAW TOMASZEWSKI

Gorgona. Rysunek R. Kannenberga. Repr. Włodzimierz Ciesłowski.

PAMIĘTNIK ADAMA

NASTĘPNEGO DNIA. Porównywałem nowe stworzenie z jego poprzednikiem; nie ulega wątpliwości, że obaj należą do tego samego gatunku. Miałem zamiar wypchać jednego z nich do mojej kolekcji, lecz Ewa z jakichś powodów jest nieprzychylnie nastawiona do tego projektu. Porzuciłem więc tę myśl, choć uważam, że to błąd. Nauka poniosłaby niepowetowaną stratę, gdyby te stworzenia wyginęły. Starsze stworzenie jest teraz bardziej oswojone i umie śmiać się i paplać jak papuga, czego, bez wątpienia, nauczyło się przebywając tak często z papugą i posiadając dobrze rozwinięty dar naśladowczy. Zdziwiłbym się, gdyby okazało się, że jest to nowy rodzaj papugi, a jednak nie powinienem się dziwić, gdyż stworzenie to było już wszystkim, co tylko przyszło mi na myśl od czasu tych pierwszych dni, gdy było rybą. Nowe stworzenie jest tak samo brzydkie, jak z początku był jego poprzednik, ma taką samą skórę barwy siarki i surowego mięsa i dziwną, pozbawioną owłosienia głowę. Ewa nazywa go Ablem. (CDN)

MARK TWAIN

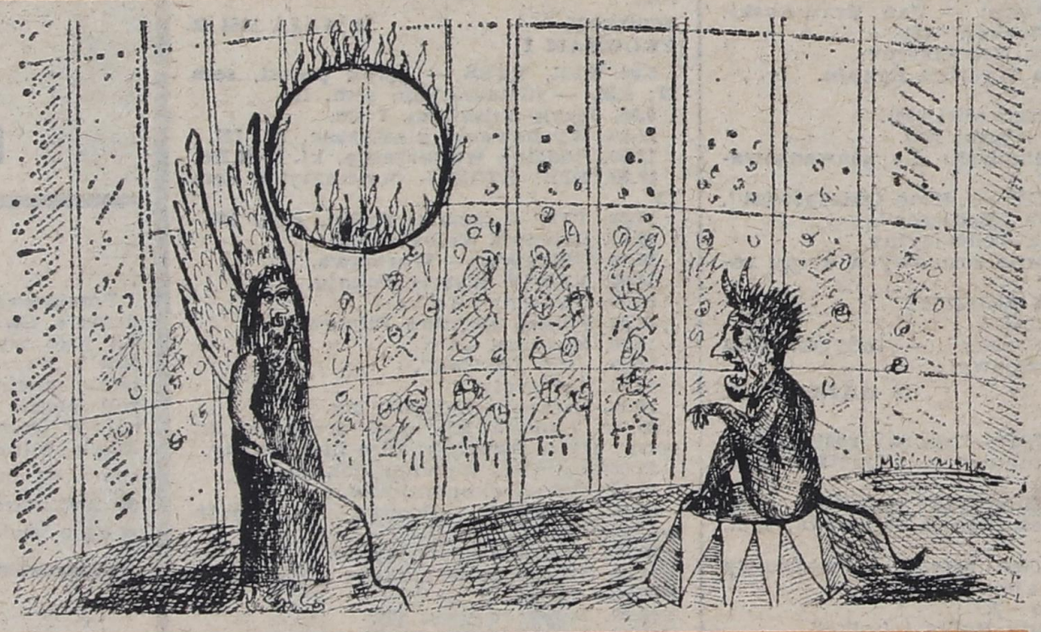

Alfred Rehtel „Śmierć — dusiciel" z cyklu „To także taniec śmierci" (1849 r.) Repr. Włodzimierz Ciesłowski.

DONOS NR 8

Wystarczyły kartki na mięso, aby naród zaczął się nam mnożyć niczym króliki lub sympatyczni skośnoocy z Dalekiego Wschodu. Podejrzewam nawet, że przy następnych kartkach pobijemy liczebnie owych żółtków. I pomyśleć, że winę za wszystko ponosi komisja lekarska, która nie dość że nie została powołana, to jeszcze nie przebadała kartek pod kątem wpływu na rozrodczość i kolejkomanię oraz chorobotwórczym.

Swoją drogą: niby diabeł wcielony w postać ludzką też człowiek, jednak karteluszka nie dostałem. Ot, sprawiedliwość! Motywacja okazała się oszałamiająca. Różne elementy są święcie przekonane, że wszystkie świnie w końcu i tak do piekła trafiają, więc nie ma potrzeby dublowania towaru na tym odcinku. Wierutna bzdura! Świnia, choćby jej dwie nogi odrąbać, i tak polezie tam, gdzie nie powinna. Z pewnością stąd biorą się te hałdy świńskich cielsk u bram raju (czytaj: na wysypiskach śmieci).

Wiadomo, jedni mają swoje progresy, inni — regresy, a ja, praktycznie uznany za jarosza, mam gród nad Hańczą i, na pociechę, w nim urządzam niezły kram.

Nagminny brak dezodorantów rozwiązałem jednym cięciem. Osiedle mieszkaniowe lokalizuję przy fermie. Odświeżające zapaszki zahartują wreszcie te nieprzyzwoicie zdelikatniałe noski. Przemyśliwuję nawet wprowadzenie podziału na sektory zapachowe: fermowy, ściekowy, śmietnikowy, niezidentyfikowany i ogólnomiejski, czyli podszyty aromatami pochodącymi z pijackich niestrawności.

DODATEK ŚCIŚLE JAWNY
PRACA ZAWODOWA

Wiedźmy moczą nogi z braku innych rzeczy do moczenia. Proces przebiega z zachowaniem wszelkich przepisów bezpieczeństwa, czyli obok misy stoi tablica z napisem: „Kąpiel wzbroniona!" W zasięgu ręki jest także worek ratunkowy typu „wypchaj się sam".

Piekło centralne dokonuje ostatnio gwałtownych cięć w Puszczy Augustowskiej i schabowego z boczkiem w masarniach, tnie przez pysk, kogo popadnie, a nawet posunęło się do rąbanki inwestycyjnej i obciachało dopływ prądu.

WYTYCZNE

Nabijać w butelkę kogo się tylko da!

WSKAZÓWKI

Rąbać prosto z mostu (byle nie przęsła).

TWÓRCZOŚĆ

Umarł Maciek, umarł i leży na desce. Na wieść o reglamentacji trumien podskoczyłby jeszcze!

Z upoważnienia NSDW
Czarnego vel Hańczaka
do publicznej wiadomości podał
TADEUSZ CHARMUSZKO